Nr. 18. Lwów, Niedziela dnia 2. Maja 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr

ŁUŹNE UWAGI.

XVII.

Stronnictwa literackie.

„.... Powinienem uprzedzić czytelnika, że odstąpiłem od zdania pospolitego, jakoby różnolicowe stronnictwa piśmienne, spory i rozterki literackie miały co szkodzić oświeceniu. Od tego niektórzy wielkim się krzyżem żegnają. Ja zaś przeciwnie sądzę, poczytując wszelkie te niesnaski za zbawienne i pożyteczne. Życie wyraża się w każdem rozniesieniu mniemań. Pierwszych tego śladów nie trzeba zacierać w literaturze; byłoby to źle zrozumianą miłością zgody i pokoju... Gdzie nie masz żadnego przeciwieństwa, tam nie masz ruchu. Wszystko z czem innem wiedzie przeciwieństwo. A gra tych przeciwieństw sprawuje najpiękniejszy fenomen: — fenomen życia.“

Temi słowy chwalił niegdyś Maurycy Mochnacki to, co zwał „literackiem sektarstwem“— ów słynny spor między ówczesnymi obozami literackiemi tak zwanych klasyków z tak zwanymi romantykami. Wyniki sporu tego okazały, iż Mochnacki miał słuszność zupełną, gdy uważał rozterki literackie jako siłę, która w piśmiennictwie wywoła „fenomen życia.“ Po sporze owym, który głównie odnosił się do poetycznej literatury, piśmiennictwo polskie wzniosło się do niebywałej przedtem potęgi, i w dziale poezji stanęło w równym rzędzie z tem, co inne wydały narody.

Umilkli wielcy poeci nasi. Karmimy się tem, co nam olbrzymi ci po sobie zostawili, i zwracamy się na pole, na którem musi pracować każdy naród, pragnący zasłużyć na miano narodu prawdziwie cywilizowanego, na pole umiejętności. Natrafiamy tu na rozliczne przeszkody, z jakiemi w każdej swej pracy spotykać się musi naród, nie będący państwem, a do tego politycznie rozćwiertowany. Zwalczamy te przeszkody krok za krokiem, i dobijamy się zwolna stanowiska, jakie się w umiejętności należy prawnukom Koperników i Vitelionów. A zmierzając w tej pracy za ogólnym postępem umiejętności, usiłując dotrzymać kroku wszystkim cywilizowanym narodom — nie mogliśmy i nie możemy trzymać się zdala od owego wielkiego sporu, który dziś cały świat naukowy na dwa rozdzielił obozy, od sporu pozytywistów z idealistami. I u nas te dwa obozy coraz ściślej się od siebie odgraniczają, coraz częstsze są „rozterki“ literackie z tej różnicy biorące początek. I owóż mamy znowu w Polsce „literackie sektarstwo.“ Czy na polu umiejętności wyda ono takież same zbawienne skutki, jakie przed pół wiekiem wydał ów rozgłośny spór na polu poezji i estetycznych pojęć? Czy będziemy mogli o dzisiejszym tym sporze powiedzieć kiedyś, iż wywołał w umiejętności fenomen najpiękniejszy— fenomen życia?

Skutek każdej siły zależnym jest od warunków wśród których, i od natury przedmiotu na który ona działa. Potężny wpływ takich rozterek literackich i naukowych, ich skutek ożywiający i użyźniający umysłową glebę narodu— zawisł także od warunków, wśród których się one odbywają, zawisł od samychże zapaśników. Walka romantyzmu z klasycyzmem toczyła się na właściwem sobie polu, bo na polu poezji krytyki, prac estetycznych. Walka pozytywizmu z idealizmem wtedy tylko pomyślne wyda skutki, jeżeli także toczyć się będzie na właściwem sobie, t. j. na umiejętnem polu — a wszelkie od tego zboczenia czynią z niej śmieszną donkiszoterję, niweczą zupełnie działanie owej ożywczej potęgi, jaką dla umysłowego życia narodu jest wszelka waśń naukowa, każde ścieranie się zdań przeciwnych,

Zrozumiano to w Warszawie. Pierwsze pojawienie się tak zwanej „młodej prasy“ przedstawiającej kierunek pozytywny, było nieco hałaśliwe, napuszyste, niedojrzałe. Rozpoczęto walkę. Postawa obu zapaśników nie odpowiadała zrazu umiejętnej naturze sporu. Zamiast naukowych argumentów ciskano sobie nieraz na głowy zarzuty z umiejętnością nic wspólnego nie mające. Powagi starego obozu straciły nieco równowagi pod wrażeniem śmiałego i hałaśliwego natarcia strony przeciwnej, która widząc iż przeciwnik schodzi z pola naukowej rozprawy, tem śmielej i tem bezwzględniej nacierała. Była to *Sturm- und Drang-Periode* budzącego się u nas pozytywizmu — a jakiem było natarcie, taką też była i obrona. Z czasem — przekonali się zapaśnicy, że tą drogą postępując szkodzą nie tylko sobie, ale co stokroć gorsza, szkodzą sprawie której służą. I oto spór cały w Warszawie przeniósł się już na najwłaściwsze bo czysto umiejętne pole — i widzimy iż z obu stron stają przeciw sobie zapaśnicy z coraz większym zasobem wiedzy, z coraz większą naukową sumiennością.

U nas inaczej! Pierwsze w Galicji publikacje w kierunku pozytywnym były to nie czasopisma, nie dziennikarskie rozprawki — ale dzieła przedewszystkiem z obcych języków tłumaczone. Skromnie a jednak w poważnej naukowej szacie pojawił się pozytywizm w naszej biednej ze wszech miar prowincji. Nie wszczynał walki — ale go do niej wyzwano, nie schodził z umiejętnego pola, ale go z niego gwałtem zepchnąć usiłowano. Ludzie, którzy już dla tego pozytywistami być nie mogą, iż brak im... pozytywnej wiedzy, a którzy mimo braków tych chcą być czemś w piśmiennictwie, wyzywają do walki pozytywizm u nas bardzo nie wojowniczo usposobiony. Wyzywają go nie argumentami naukowemi, ale zapomocą pięknie brzmiących, a pustych frazesów. Zamiast umiejętnie dowodzić, iż zasady na których pozytywizm się opiera są naukowo błędne, — krzyczą w niebogłosy o zagrożonych podstawach moralności; zamiast krytykować przyjętą przez pozytywistów metodę badań naukowych, załamując dłonie wołają, że pozytywizm wytępia uczucia patryotyczne, co jest wielką nieprawdą! Daremnie przemawiać do nich mową nauki — daremnie wywabiać ich do walki na polu umiejętnem: pocóż dyskusyi umiejętnej tym, którzy z wysokości arcykapłaństwa swego jowiszowe ciskają gromy!

Nie w „łużnych uwagach“ miejsce do zbijania tych pustych a szumno brzmiących frazesów, o szkodliwych pozytywizmu wpływach na moralność i patryotyczne uczucia. Chodziło nam przedewszystkiem o zwrócenie uwagi na to, że

jeżeli poczynająca się u nas walka ma rzeczywiście błogie wydać następstwa, i rozbudzić ruch naukowy, należy koniecznie przenieść ją na pole umiejętne. Przeciwnik walczący bronią nauki, będzie zawsze dla pozytywizmu bardzo pożądanym, a byłby również pożądanym dla całego rozwoju piśmiennictwa naszego, bo wtedy dopiero mogłaby być mowa o istotnem ścieraniu się zdań i przekonań przeciwnych. Nieraz już doświadczyliśmy tego, iż za ruchem umysłowym, rozbudzonym w Warszawie szedł kraj cały. Jeżeliż tedy idziemy za nią w tem, że się i u nas podnosi polemika w tych kwestjach — naśladujmy ją także w sposobie prowadzenia tej polemiki. Stańmy do walki, ale na polu nauki — a z takiej walki musi wyniknąć rozbudzenie życia i ruchu naukowego, spotęgowanie polskiej umiejętności — tak jak przed laty pięćdziesięciu ze sporu t. zw. klasyków z romantykami wynikł znakomity rozkwit poetyckiej literatury polskiej.

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

V.

Jesień już się przechylała ku zimie. Natura na wpół rozebrana z zieloności miała jeszcze od czasu do czasu swoje piękne dni, w których przekwitające jej wdzięki wydawały się oku bardzo powabnie, czerstwo i świeżo. Szczególniej w mieście, bo w miastach lubo życie prędzej się zużywa, ubytek jego łatwiej umieją ukrywać sztucznemi środkami. Otóż w mieście, po ogrodach i ogródkach, w których przyroda pokazuje zaledwie koniuszki swych paluszków, nie znać było jeszcze jej starości, za cienką warstwą sztucznych rumieńców nie widać było jeszcze zapowiedzi słoty i zimna, choć po górach zima trzymała rozesłane płachty śniegowe, któremi lada dzień miała przykryć ziemię. Astry, gwoździki i georginje wraz z letniemi sukniami miejskich elegantek korzystały z ostatnich pogodnych dni i chwaliły się barwami przed oczami patrzących; na plantacjach krakowskich mnóstwo ludu spacerowało w godzinach południowych a emeryci i słabowici wygrzewali i kąpali w resztkach słonecznych promieni blade, przeciągłe twarze i wysuszone członki.

Pomiędzy tymi ostatniemi można było widzieć co dzień koło pierwszej godziny w południe na trzeciej ławce od bramy floryjańskiej, młodego człowieka w ciemnych okularach. Pomimo młodego wieku twarz jego nie miała wcale świeżości ani rumieńca, była blado żółta, jak zeschnięty wosk, rysy zmięte i przeciągłe nosiły ślady długiej choroby czy też zgryźliwości. Często przyprowadzała go do ławki młoda kobieta i posiedziawszy chwilkę przy nim odchodziła w miasto, zostawiając go opartego zwykle brodą na lasce, i z głową spuszczoną ku ziemi, jakby go nic nie obchodziło, ani pogoda pięknego dnia, ani osoby przechodzące. Przesiedział tak parę godzin, zachmurzony, posępny, kwaśny, jakby ciągle niekontent i zagniewany, a potem wstawał i krokiem powolnym, niepewnym, macając czasem laską drogę przed sobą, odchodził ku ulicy Mikołajskiej. O ile twarz jego była niesympatyczną i odpychającą, o tyle kobieta, która go zwykle odprowadzała na jego uprzywilejowaną ławkę, zwracała uwagę przechodzących białą, drobną twarzyczką o regularnych, ostrych rysach i dużych ciemnych oczach, żywych i sprytnych, które efektownie odbijały od jasnych, złotawych i gęstych włosów. Nie chcąc na próbę wystawiać domyślności czytelników powiem, że tą kobietą była Marynia Dylska. Idąc do magazynu odprowadzała brata nie tyle może z troskliwości o niego, jak raczej, że jej to było po drodze i że brat wymagał od niej tej przysługi, na którą się zgodziła z obawy jego zrzędzenia i wyrzutów. Nie bawiła jednak długo przy nim i z uderzeniem pierwszej wstawała i odchodziła szybko w miasto. Jak powiedziałem wyżej, Jan przesiadywał potem parę godzin sam; może być że między osobami przechodzącemi koło niego było wielu jego znajomych, ale ich nie poznawał, bo wzrok miał mocno osłabiony a ciemne okulary chroniące oczy od światła jeszcze więcej przeszkadzały mu poznawać ludzi. Również nikt do niego nie zbliżał się, bo Jan mało miał życzliwych a ci, którzy czasami zagadnęli go i przysiedli się do niego na chwilę, odstręczali się przykrym i kwaśnym humorem chorego. Stroniono więc od niego i znajomi przechodzili koło niego nie zaczepiwszy go, nie zatrzymawszy się przy nim. Domyślał się tego i to go jeszcze więcej gryzło i gniewało; cierpienie oczów potęgowało jeszcze tę zgryzliwość i mizantropję, nie cierpiał ludzi za to, że nie cierpieli jak on, że brak wzroku nie krępował im nóg, nie przeszkadzał im w ich zatrudnieniach. Gdyby był mógł, powykłuwałby im oczy końcem swej laski, którą zwykle wiercił ziemię pod swemi nogami. W bezsilnem gniewie swoim robił wrażenie niedźwiadka tarzającego się w kurzu i rozdziawiającego jadowite kleszcze w pustej przestrzeni koło siebie, któremi nic schwycić i zranić nie może prócz odnóg własnego ciała. Tak on w rozdrażnieniu gryzł tylko i szarpał swoją własną duszę zjadliwemi myślami. Po paru godzinach takiego przykrego męczenia się zjadliwemi i żółciowemi myślami wracał znowu do swej ciemnicy jeszcze więcej znękany i rozstrojony z postanowieniem nie wychodzenia na świat, dopóki mu się nie polepszy; ale na drugi dzień znowu wychodził, słońce wyciągało go z jego nory, gdzie mu było duszno i nudno, a przy tem doktor zalecał mu świeże powietrze; więc jak tylko słyszał siostrę wybierającą się do wyjścia, wstawał i wychodził z nią razem.

Raz gdy tak szli oboje i Marynia prowadząc go pod rękę opowiadała mu o czemś, spostrzegła na ławce, na której zwykle siadywał Jan, jakiegoś młodego mężczyznę z rzadkiemi jasnemi faworytami, w eleganckiem ubraniu, który zbliżającym się ku niemu uważnie i dość impertynencko się przypatrywał. Marynia przeszła koło niego z dobrze udaną obojętnością, zdawała się nie widzieć go nawet, jednak lekkie zarumienienie bladej jej twarzy i chwilowa przerwa, jaką zrobiła w opowiadaniu swojem, zdradzały pewne wzruszenie wewnętrzne. Badawczy wzrok nieznajomego zmięszał ją, a to tem więcej, że twarz jego nie była jej obcą, zdawało jej się, że go już gdzieś widziała.

— Minęliśmy naszą ławkę — powiedział Jan zatrzymując siostrę i macając laską koło siebie.

— Zajęta — rzekła Marynia półgłosem i pociągnęła ze sobą dalej brata.

Ale nieznajomy widać usłyszał tę rozmowę, wstał prędko z ławki i zrobiwszy niewyraźny ruch ręką, jakby się chciał ukłonić lub przepraszać, odszedł w przeciwną stronę. Marynia z bratem wróciła na uprzywilejowaną ławeczkę i usiadłszy, rzuciła nieznacznie śledcze spojrzenie za odchodzącym, a czoło jej sfałdowało się zamyśleniem, usiłowała sobie przypomnieć, gdzie i kiedy mogła widzieć już tego człowieka, że rysy jego tak utkwiły w jej pamięci. Naraz oczy wyjaśniły się, jakby przez nie błysnęło światło i ucieszona z przypomnienia swego odezwała się dość głośno, zapomniawszy całkiem o obecności brata:

— A! to on — i znowu spojrzała za nieznajomym, który w pewnej odległości zatrzymał się i odwrócił ku ławce, na której przedtem siedział. Ruchy jego i postawa jeszcze więcej utwierdziły Marynię w jej domyśle. Był to ten sam mężczyzna, którego przed paru tygodniami widziała wieczorem przed wystawą jubilerską. Marynię dziwiło, że twarz jego tak żywo została w jej pamięci.

— Tak, to ten sam — powtórzyła sobie.

— Kto? — spytał Jan.

Marynia teraz dopiero spostrzegła obecność brata i nie kontenta z tego, że ją podsłuchał, odrzekła opryskliwie:

— E, nic, tak sobie mówię.

— No, ale nie dokończyłaś mi o owem zdarzeniu — ściągało się to do tego, co mu poprzednio opowiadała.

— Nie mam już czasu. Pierwsza wybiła. Muszę iść.

To powiedziawszy wstała i odeszła ku miastu. Skręcając z plantacyj w ulicę, miała sposobność rzucić ukradkiem spojrzenie po za siebie. Nieznajomy stał jeszcze i patrzał na nią. Gdy znikła w ulicy, wrócił się ku ławce, na której teraz Jan siedział, przypatrzył mu się, minął i znowu zatrzymał się, zdawał się chwilę wahać i namyślać, nareszcie wrócił się, podszedł ku siedzącemu i odezwał się:

— Jak się masz Janie, coś ty słaby, cierpisz na oczy?

— Kto to? — spytał Jan podnosząc głowę do góry i usiłując przez okulary rozeznać rysy mówiącego.

— To ja, Alfred Sztolce, nie poznałeś mnie?

Woskowa twarz Jana zapłonęła, jakby blask krwawego płomienia ją oświetlił, i poruszył się niespokojnie na ławce. Trwało to jednak nie długo i płomienie zgasły, został tylko po nich, jakby swąd po zgaszonej świecy, wyraz zgryźliwej niechęci połączonej z zakłopotaniem.

— Mało co widzę — odrzekł — nic dziwnego, żem nie poznał. Są ludzie, którzy widzą dobrze, a trudno im poznawać ludzi.

W słowach tych kryło się ostre żądło jakiegoś wyrzutu, którego jednak przybyły nie uważał, czy też udawał, że nie uważa i usiłując podtrzymać dalej rozmowę usiadł na ławce obok Jana i mówił dalej:

— Zmieniłeś się bardzo. Ale bo też tyle lat nie widzieliśmy się.

— Tak, ty mnie może nie chciałeś widzieć; ale ja widywałem cię dość często.

— Wiesz, że nigdy nie odznaczałem się dobrym wzrokiem.

— Dziś ci się widocznie polepszyło — rzekł Jan cierpko.

Towarzysz jego zagryzł wargi niezadowolony z tonu, jaki rozmowa przybierać zaczęła; chciał koniecznie rozbroić, udobruchać rozdrażnionego, który tak widocznie pokazywał mu, że ma do niego urazę. Chwilkę zdawał namyślać się, z której strony mógłby najbliżej do niego przystąpić; wreszcie odezwał się, niby nie zważając na ostatnie słowa Jana:

— I długo tak już cierpisz?

— Długo — odrzekł Jan ponuro — dłużej, niż potrzeba, aby stracić resztę cierpliwości.

Nie dziwię się twemu rozdrażnieniu. Choroba oczów szczególniej dla człowieka pracy, tak jak ty....

— U ciebie oczy powinne w taki sposób należeć do zbytkownych przedmiotów.

— Nikomu wzrok nie jest zbytecznym; ale tobie szczególniej brak jego dokuczaać musi, byłeś zawsze tak pilnym, studjowałeś tyle.

— A teraz muszę bezczynnie leżeć jak kawałek spróchniałego drzewa, które zawadza tylko ludziom na drodze.

— I cóż to za słabość?

— A djabli ją wiedzą. Doktorzy nazywają to zapaleniem tęczówki.

— I to bardzo przykra słabość?

— Piekielna — powiedział Jan, a w tonie jakim wymówił to słowo, odezwały się wszystkie furje gniewu i rozpaczy, które dręczyły jego duszę.

— Więc nie możesz nic robić?

— Robić? — Rozśmiał się zimno, szyderczo — ja widzić nie mogę, a nie dopiero robić.

— Jednak sam chodzisz.

— Tak, po omacku, zresztą czasem odprowadza mnie tu siostra moja.

Przy tych słowach towarzysz Jana poruszył się, twarz mu się rozjaśniła a oczy błysnęły ożywioną ciekawością. Nie zdradził się jednak z tem przed Janem i dość obojętnie mówił dalej:

— I nie nudno ci tak siedzieć samemu?

— Cóż robić? Za łeb ludzi ciągnąć nie będę do siebie.

— Ja sądzę, że tego nie potrzebujesz, towarzystwo twoje każdemu może być przyjemnem i korzystnem. I jeżeli ci nie będę natrętnym, to chętnie przepędziłbym z tobą codzień parę godzin, mam dosyć wolnego czasu, a przy tobie mogę go użyć lepiej, niż gdzie indziej. Mogę ci czytywać, jeżelibyś chciał.

Jan nie był przygotowany na taki obrót rzeczy, toteż zrobił dość głupią minę, w której znać było zawstydzenie, nieśmiałość i zakłopotanie. Była to mina psa, szczekającego i rzucającego się na ludzi, któremu nagle pokażą kawałek chleba zamiast kija, którego się spodziewał. Chowa wtedy ogon pod siebie, milknie i nie patrząc w oczy dającego zbliża się nieśmiało po kęs chleba. Podobną minę miał Jan. Był zakłopotany, nie wiedział co powiedzieć. Towarzysz jego spostrzegł to i chcąc wyprowadzić go z ambarasu mówił dalej:

— Będzie to tylko spłaceniem długu wdzięczności z mojej strony. Wszak ty mi dawniej także oddawałeś podobną przysługę, uczyłeś mnie.

— Toście mi płacili za to.

— Takich przysług nigdy dosyć opłacić nie można.

— Znudzisz się i ucieckniesz; mam usposobienie nie bardzo towarzyskie i przyjemne, choroba zrobiła mnie jeszcze więcej przykrym i nieznośnym.

— Rozruszam cię trochę, wiesz, że byłem zawsze żywy i wesoły. A tobie to potrzebne, aby cię ktoś rozerwał, rozgadał. Gdzież mieszkasz, będę u ciebie jutro zaraz.

— U mnie w domu? Nie — odrzekł chmurząc się znowu Jan. — Ja mieszkam teraz jak w piwnicy, nie wytrzymałbyś tam długo.

— Przekonam cię, że tak nie jest.

— Nie, nie, nie chcę, ty jak motyl potrzebujesz światła, słońca, ja cię znam. Masz całkiem naturę motyla. Jeżeli chcesz koniecznie nudzić się przy mnie, to możemy tutaj się widywać, ja tu codzień jestem.

— O tej godzinie?

— Tak, siedzę tu po kilka godzin.

— Więc jutro służyć ci będę. Teraz nie zabawię dłużej, bo siostra moja wyjeżdża dziś, za parę godzin, muszę iść ją pożegnać.

Jan znowu poczerwieniał, jak szkarłat, gdy Alfred wspomniał o siostrze swojej. I nim miał czas zblednąć, Alfred już odszedł zostawiając go wśród labiryntów różnych domysłów. Dziwiło go to bowiem, co mogło Alfreda skłonić do takiej serdeczności, kiedy przedtem unikał go i ignorował. Był czas kiedy kolegowali ze sobą a nawet Jan uczył Alfreda i bywał częstym gościem w jego domu. Nieraz bawili się razem w salonie, a siostra Alfreda Helena brała także udział w tych zabawach. Była to panienka świeżo wyrosła z dziewczynki, mogła mieć lat najwięcej piętnaście; ale zupełnie już rozwinięta fizycznie, jędrna, a przytem kształtna i świeża. Psuta i pieszczona przez rodziców przywykła od dzieciństwa nie krępować zachceń swoich i dogadzać fantazjom i kaprysom, których miała bez liku. Lubiła, żeby ją słuchano i nią się zajmowano. A umiała ująć sobie wszystkich, umiała z wielkim sprytem odszukać w każdym słabą stronę i słabości tych ludzkich używać do kierowania nimi. Toteż wszyscy, co się znajdowali w jej otoczeniu ulegali wpływowi czarującej despotki. Ponury i dziki trochę Jan długi czas obojętnym był na to; zajęty nauką, popychany ciągle naprzód niespokojną i pracującą w nim ciągle żądzą wyniesienia się, nie wiele uważał na wdzięki kobiet, co jak roskoszne oazy wabią zwykle i zatrzymują przy sobie młodych ludzi. Jan nie miał czasu na takie odpoczynki, jemu pilno było iść naprzód, a trzeba także dodać, że go nikt gwałtem nie zatrzymywał. Dopiero Helena, którą obojętność uczonego mruka, jak nazywała Jana, irytować zaczęła, postanowiła sobie zkokietować go. Nie było to znowu tak trudno dla panienki, która była młodą i piękną a miała przy tem oczy, jakby z ciemnego błękitu wykrojone, wymowne, ponętne i kuszące. Oczami temi często zabiegała mu drogę i wabiła. Jan długi czas tego nie widział, może dlatego, że przez nieśmiałość nie patrzał nigdy w oczy Heleny. Aż raz spotkał się oko w oko z ich spojrzeniem głębokiem, rozmarzonem i zmięszał się, spojrzenie to mówiło mu coś, czego nie rozumiał dobrze a sprawiało mu uczucie roskoszy i niepokoju. Kiedy wrócił do siebie spojrzenie to stawało w poprzek jego poważnych myśli, rzucało się pod nogi tym myślom, jak nawałnica pachnących kwiatów krępowało je, odurzało i myśli upadały na miękie roskoszne posłanie, rozpływały się w marzenia dziwne, nieokreślone. Nieraz wśród pracy gdy sobie przypomniał to spojrzenie Heleny, doznawał łaskotania w nerwach, czuł piekący ogień we krwi, porzucał wtedy pracę i szedł do mieszkania bankierów odświeżyć pamięć tego spojrzenia. Helena jednak umiała go wytrzymać przez kilka dni w tem pragnieniu, ignorowała go, a to wzmogło tylko niebezpieczną gorączkę i spotęgowało pragnienie. Chrząszcz był już na szpilce, można go było zostawić, nie mógł uciec, choć się szamotał i wił. Czasami tylko trzeba było zajrzeć, czy się nie wyszamotał i wrócić go na dawne miejsce. Helena robiła to z pewną pasją, bawiło ją to, gdy widziała mruka goniącego ponuro za nią rozpłomienionym wzrokiem, blednącego z zazdrości lub czerwonego ze wzruszenia. W istocie były chwile, w których zimny i wyrachowany samolub szalał i prawie od zmysłów odchodził. Namiętność ma swoje prawa, którym i gady podlegają; prawa te odezwały się w Janie z gwałtownością tem większą, że tak długo były krępowane. A oprócz namiętności draśnięta duma jego wchodziła tu w grę i nie chciała dać za przegranę. Duma więc i namiętność rozdmuchały silny ogień w piersiach Jana, ogień, który go pożerał i trawił. Helena bowiem umiała trzymać go zawsze w przyzwoitej odległości i jeżeli ośmieliła czasem wymownem spojrzeniem, to wnet słowami odsuwała od siebie a za czulsze uściśnienie jej ręki musiał nieraz przez kilka dni znosić wybryki jej kapryśnego humoru i być przedmiotem kłujących żartów. To dwuznaczne postępowanie do rozpaczy przyprowadzało Jana, nie wiedział jak sobie je ma tłumaczyć, nie mógł wierzyć, ale także nie mógł zupełnie wątpić, w co? — W coś nieokreślonego, w coś, co czytał czasem w błękitnych oczach Heleny, a co znowu gasło, gdy się w to wpatrzył silniej. Było to coś niepochwytnego, mglistego, że nie mógł z tej tęczowej tkaniny wysnuć żadnej pewnej nadziei na przyszłość, było to jakieś piękne nic, które go łudziło. Postępowanie Heleny było podobne do owych promieni słonecznych, które szczelinami wpadają w ciemnicę

*

i robią złudzenie strun złotych. Jan wyciągał ręce do tych strun, chciał wydobyć z nich dźwięk i palce tonęły mu bez odgłosu w strumieniach złotych promieni, które gasły co chwila. Był to męczący sen. Nieraz próbował się przebudzić, unikał widoku Heleny, nie bywał po kilka dni u Alfreda, ale wtedy Alfred zjawiał się zaraz u niego, pytał o przyczynę jego nie bywania i najczęściej dodawał: Helena pytała się dla czego nie bywasz, ma do ciebie jakiś interes, — i Jan znowu wracał jak ćma do świecy. Raz Helenka wybierała się na jakąś prywatną zabawę, na jakiś wielki wieczór. Dzień przed balem mówiła o tem Janowi i dodała: — Bądź pan jutro u nas, nim wyjedziemy, zobaczysz mnie pan w balowym stroju, pierwszy raz będę miała strój balowy, zobaczysz mnie pan i powiesz czy mi w nim dobrze. — Jan stawił się posłuszny. Czekała na niego już ubrana, miała suknię różową, wciętą, z pomiędzy gazy różowej wysuwały się ponętnie białe, okrągłe ramiona i piersi jak rozkwitające róże. Jan nie widział jej nigdy jeszcze w takim stroju, odsłonione wdzięki odebrały mu mowę i przytomność, stanął odurzony i pożerał oczami ten widok, a krew jak rozpalona lawa uderzała mu do głowy. Helena zadowolona była z wrażenia, jakie zrobiła, oczy jej uśmiechały się ponętnie, roskosznie, przysunęła się do osłupiałego Jana i spytała:

— Podobam się panu?

Pytanie to porwało go; zamiast odpowiedzi rzucił się ku niej jak zwierz dziki, pochwycił w pół i do białych ramion przycisnął z namiętnością rozpalone usta. W tej chwili dał się słyszeć odgłos policzka, wymierzyła go ręka Heleny, która odtrąciła śmiałka gwałtownie i zadzwoniła na służącego.

— Wyrzucić tego stolarczyka za drzwi — zawołała wskazując na Jana, a oczy jej płonęły gniewem i wstrętem.

Rozkaz jej był zbytecznym, Jan sam przeląkł się śmiałości swego kroku i uciekł z pokoju. Odtąd nie pokazał się więcej w mieszkaniu bankiera. Pełen niepokoju i trwogi oczekiwał skutków swego zapomnienia, był pewnym, że bankier mu tego nie puści sucho, że może Alfred wyzwie go. Nie wychodził wieczorami z domu, by się nie narazić na spotkanie z jakimi ludźmi, najętymi przez bankiera do ukarania go; w domu za lada szmerem na schodach wzdrygał się, był pewnym, że to Alfred idzie lub jego sekundanci. Ale przeszedł tydzień i drugi i miesiąc cały i nic podobnego się nie wydarzyło. Alfred przy spotkaniu się z nim udawał, że go nie widzi, i to było wszystko. Jan nie mógł przypuszczać, że Helena zataiła to, co się jej wydarzyło; nagłe zobojętnienie Alfreda przekonywało go, że wie o wszystkiem, mógł się domyśleć, że i ojciec jego wie także a jednak lekceważono sobie tę sprawę i pokryto ją wzgardliwem milczeniem. To go upokorzyło stokroć więcej, niż gdyby go byli, Bóg wie jak ukarali. Pogardliwe ignorowanie znaczyło, że był za małym, za nędznym, aby mógł ich obrazić. Ambicja jego cierpiała mocno na tem, a nie mogąc mścić się, nienawidził tylko. Szczególniej nienawidził Heleny, bo uważał ją za najwinniejszą. Rozważając chłodniejszym umysłem jej całe postępowanie, widział teraz jasno, że był zabawką tylko dla niej, że względy jakie mu pokazywała, były jakby rodzajem zachęty, że mu je podawała, jak pudlowi kawał chleba, gdy go się chce zachęcić do pokazywania sztuczek. To przeświadczenie przyprowadzało go do wściekłości, duma jego i namiętność były zdeptane małą nóżką bankierówny, wyśmiane i pogardzone, nienawidził ją więc z całego serca; ale nienawiści tej niczem objawić nie mógł, tłumiła się ona w głębi, jak ogień przywalony mokremi gałęziami, skwirczała w nim, dymiła i gryzła go; ale płomieniem buchnąć nie mogła. Była to bezsilna nienawiść, która szkodziła tylko jemu. Bankierówna nic o niej nie wiedziała, i o nim pewnie zapomniała także wśród zabaw, na jakich schodziły jej pierwsze lata po wyjściu w świat. Rodzice obwozili ją po pierwszych stolicach Europy, lato przepędzała u głośnych wód za granicą, bale, koncerta, stroje, hołdy, zabawy najrozmaitsze napełniały wszystkie godziny jej życia. Trudno wyobrazić sobie, aby zostało jej co czasu na wspomnienie syna stolarza, który jak drobny, wstrętny robak przesunął się raz po tej rozkwitłej róży. Przeszło to bez śladu. W dwa lata potem Helena wyszła za mąż za jakiegoś wiedeńskiego bankiera. Jan już więcej o niej nie słyszał; Alfred wyjechał był także za granicę, a za powrotem obracał się tylko w kółku złotej młodzieży i nigdy nie zszedł się z Janem, a gdy go przypadkiem spotkał gdzie, nie poznawał. Aż nagle teraz przypomniał go sobie, i dziś pierwszy zbliżył się do niego. Janowi nie było to niemiłem, i choć niegrzecznie i opryskliwie przyjął Alfreda, to robił to więcej dla zamaskowania zadowolenia swego; chciał przy tem zrobić sobie pewne zadosyćuczynienie za upokorzenie i pogardę, jakiej doznawał od Alfreda przez lat tyle. Pies warczał jeszcze, ale już pożądliwem okiem mierzył kęs łaskawości, który mu podawano i powoli zbliżał się ku niemu: ale zawsze z pewnem niedowierzaniem i ostrożnością. Nie mógł bowiem przeniknąć intencyj Alfreda i odgadnąć powodów, które go skłoniły do zbliżenia się. Nie przypuszczał współczucia, wznowionej koleżeńskiej życzliwości, nie wierzył w takie motywa, bo sam nigdy się niemi nie kierował. Szukał więc innych. W pierwszej chwili przypuszczał, że Alfred zrobił to pod wpływem siostry, która przybywszy do Krakowa chciała może dla jakich powodów, których się domyśleć jednak nie mógł, dowiedzieć się coś bliższego o nim. Może chciała się dowiedzieć, czy wypoliczkowany kochanek umie dochowywać wierności młodocianym wspomnieniom. Kobiety mają czasem taką ciekawość, mogła ją mieć Helena. Ale wnet przyszła mu refleksja, że gdyby Helenie zachciało się rzeczywiście czegoś podobnego, to nie zwlekałaby wykonania swego kaprysu aż do chwili odjazdu. Było więc w tem coś innego; jednak nie mógł przeniknąć tego. Dlatego postanowił być ostrożnym, przyczaić się i badać postępowanie Alfreda. (C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW

Napisał

W. J. Wdowiszewski.

(Ciąg dalszy.)

V.

Piąta ilustracja pokazuje nam Wacława i Marję, siedzących pod lipami, które opuścił Miecznik, robiąc miejsce zięciowi. Postać Marji równie udatna i szlachetna jak poprzednio; wdzięku dodaje jej uśmiech szczęścia, ale znów Wacław psuje harmonję obrazu. Rysy jego pospolite, bez inteligencji; postawie brak rycerskości i życia; nie znać w nim wcale „wojewódzkiego syna“ i kochanka, a przecież Wacław powinien mieć cechę pańskości, powinien być namiętny.

W szóstej ilustracji widzimy ganek dworku Miecznika i stojącą na nim Marję, która podniósłszy rękę do czoła, śledzi wzrokiem niknące w oddali hufce ojca i Wacława. Na tej ilustracji twarz Marji mniej udała się artyście, choć postać cała nosi to samo piętno wdzięku i szlachetności. Że twarz ma za mało plastyczności, przypisać należy za wielkiemu cieniowi, padającemu od ręki wzniesionej ku czołu, dla nadsłonienia oczów.

Ilustracja siódma pokazuje nam bramę ogrodzenia dworskiego, w której stoi stary sługa, klucznik, odprawiający maski słowami:

Ale tu wejść nie można, teraz nie zapusty,
Pan Miecznik na Tatarach to i dworzec pusty!

Jest to ilustracja wyborna, pełna życia, humoru, a przecie smutna. Rój wesołych masek, przybyłych w złowrogich zamiarach, a przed nimi stary, siwy, pochylony starzec, jako stróż i obrońca Marji. Kontrast oddany skończen ie a postać klucznika jest maleńkiem arcydziełem.

Bitwa z Tatarami jest przedmiotem ilustracji ósmej. Miecznik godzi szablą na Tatara, na czele oręźnych; przy boku jego walczy Wacław. Tumult bitwy oddany dobrze, ale tak Miecznik jak Wacław nie przypominają charakterystyką poematu Malczewskiego. Mają te same wady, jak na poprzednich obrazach.

Dziewiąta ilustracja — Wacław i Miecznik pod drzewem po bitwie, także co do charakterystyki osób, nie lepsza, a już najgorszym jest Wacław na następnej, dziesiątej ilustracji, gdy nocą pędzi na koniu do Marji, stosownie do słów poematu:

O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanej,
Lecieć z stęsknionem sercem do swojej kochanej.

Niech mi daruje artysta, ale jeździec oddany na tej ilustracji, wygląda raczej jak angielski sporsman i członek jockej-clubu, a nie jak namiętny, rozkochany, stęskniony Wacław. Zresztą rysunek jest fałszywy. Toć gdy koń w pełnym biegu, trudno aby jeździec trzymał się na nim tak wyprostowany i sztywny, jak Wacław na obrazie artysty. To dążenie naprzód musi się objawić nachyleniem całej postaci ku przodowi; w obrazie nie widać, że się Wacławowi spieszy, a jest to nieodzowne jeśli obraz ma być ilustracją sceny z Malczewskiego.

W jednastej ilustracji Wacław wskakuje oknem do pokoju, w którym leży Marja. Już wskoczył i biegnie ku niej.

Artysta umiał zręcznie uniknąć trudności, jakieby napotkał chcąc odwzorować na twarzy Wacława rozpacz wywołaną świadomością spełnionego faktu — śmierci Marji. Wacław na jego

ilustracji nie wie jeszcze, że Marja umarła, on biegnie do niej radośny — witać. Powiem otwarcie, że obraz ten jest najgorszym z całego szeregu tak co do wykonania technicznego, jak co do postaci Wacława. Brak wyrazu duchowego w twarzy i brak składności w ruchach Wacława czynią nieprzyjemne wrażenie na widzu i umniejszają grozę sceny.

Ostatnia ilustracja jest zarazem najpiękniejszą. Oto przy grobach żony i córki klęczy Miecznik, a ludzie z latarnią szukają go i znajdują martwego. Jeżeli gdzie — to tutaj podał artysta rękę poecie. Jest to obrazek tak głęboko poetyczny i rzewny, tak całą duszą pojęty i wykonany, że wzroku oderwać trudno od tego starca, tych mogił cmentarnych i patrząc na obrazek czujesz, że musi być

I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie....

Jak więc widzimy, nie wszystkie ilustracje Walerego Eljasza do Marji są jednakowej wartości; jedne są oddane z przejęciem i zrozumieniem; drugie nie rozwiązują zadania swego. Gdy postać Marji przeprowadzoną jest we wszystkich jednolicie i con amore, postać Wacława jest chybioną na wszystkich, a Miecznik jedynie na ostatniej przemawia do nas swoją pięknością.

W każdym razie ilustracje Walerego Eljasza do Marji są najlepszemi z wszystkich, jakiemi nas dotąd obdarzyło malarstwo narodowe.

VI.

Mickiewicz, Pol, Malczewski — oto trójca poetów najbardziej wyzyskana przez malarstwo. Jest to świadectwem ich popularności w narodzie i świadectwem wpływu, jaki wywrzeć umieli potęgą swojego słowa.

Krasiński nie był całkiem ilustrowany; Słowacki wywołał zaledwie jedną dość lichą akwarelę p. Macewicza do poematu „Piasta Dantyszka“ o piekle. Na tych poetów nie przyszedł jeszcze czas; malarstwo ucieka przed idealnością Zygmunta; boi się olbrzymiej potęgi Juljusza. Jeszcze w fantazji malarzy nie znalazła wyrazu zemsta Irydiona; jeszcze przed nią nie stanęły wyniosłe postacie Derwida, Lilli Wenedy, Balladyny; jeszcze Kordjan, Beniowski, Sawa, Mazepa nie przemówili do artystów. Oprócz Krasińskiego i Garczyńskiego, każdy ze znakomitszych poetów zyskał choć jedną ilustrację.

Tak „Wiesława“ odtworzył według Brodzińskiego, Franciszek Kostrzewski, choć w obrazie artysty, starannie pod względem technicznym wykonanym, więcej jest sentymentalizmu, elegancji, wypieszczenia charakteru Wiesława, jak w samym nawet poecie. Za mało w nim naszego wieśniaka, a za dużo idealności w pojęciu.

Seweryn Goszczyński znalazł ilustratora w p. Brodowskim. Odtworzył on postać hetmana kozackiego „Nebaby“ z poematu: „Zamek Kaniowski.“ Nebaba spoczywa pod dębem w puszczy przed mającą się stoczyć bitwą. Artysta umiał się przejąć kolorytem poematu i duchem poety; to też postać Nebaby odtworzona jest z siłą i prawdą, a kompozycja i koloryt obrazu dobrze oddają tę ponurość i złowieszczość, jaka powinna otaczać Nebabę Goszczyńskiego.

Kurella utworzył wdzięczny obrazek według ballady: „Panicz i dziewczyna“ a Włodzimierz Wolski doczekał się odtworzyciela w p. Jasińskim, który ilustrował „Daniłę“ z Ojca Hilarego. W obrazku widać zrozumienie poety, ale wykonanie techniczne jest bardzo słabe. Kossak ilustrował Jabłonowskiego: „Dziewczę polskie“ i kilkakrotnie powtarzał wykonanie tej akwareli, którą czytelnicy znają z reprodukcji drzeworytniczej w „Strzesze.“ Dość lichutki obrazek, robiony od niechcenia.

Od niedawnego czasu, objawia się między ilustratorami zwrot ku przeszłości — a ilustracje do dawniejszych poetów stają się coraz częstszemi. Wspomnę tu tylko o kilku, choć czasopisma ilustrowane warszawskie dość znaczną liczbę takich odtworzeń zamieściły. Można je widzieć w każdej chwili przeglądnąwszy Tygodnik Ilustrowany z r. 1860 do 1870. Z pomiędzy ilustracyj zamieszczonych tamże, uderza pięknością rysunek Wojciecha Gersona do „Flisa,“ poematu Klonowicza. Podziwiać należy ten zmysł artysty, z jakim potrafił wydobyć z dość suchego opowiadania, ziarna prawdziwej poezji i wyzyskać momenta wysoce piękne i polskie. Znamionuje to głębokie wykształcenie artystyczne i wczytanie się w poemat Klonowicza. Z prawdziwem zadowoleniem odsyłam czytelników do Tygodnika Ilustrowanego, tomu X. z r. 1864, w którym się ten rysunek znajduje.

(C. d. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. KOSZCZYCA.

(Ciąg dalszy.)

„...Nietylko sąsiadki lecz domyzdawały się na nią ciekawie spoglądać, gdy mocno postukując kosturem zbliżała się pośpiesznie do domu, ponieważ nikomu nie było tajnem, co ją spotkało w seraju. Ale ciekawość wszystkich została zawiedzioną, udała bowiem głuchą i milczała jak zaklęta na robione sobie pytania. Gdy w domu stanęła, pozdrowiła serdecznie Aiszę, zgotowała jej kawę i zaleciła, aby była gotową powrócić do męża, za pierwszym znakiem, jaki niewątpliwie wkrótce jej przyniesie. Tu wzięła na siebie znowu dziurawy czarczaf i prędko wyszła z domu ku bazarowi.

W sklepie Achmeda-effendego wszystko szło po staremu, a nawet sam gospodarz jak wczoraj siedział na poduszce przy wystawie, trzymając cybuch od nargila w ręku. Tylko z wybladłej twarzy i ze smutku, co jak kopeć na niej osiadł, widać było, że godzina utrapienia wybiła. Dopatrzyła to Fatma i dlatego tem śmielej przestąpiła próg sklepu. Znowu padła na ziemię przed kupcem i jeszcze głośniej lamentując jak dawniej, opowiedziała: że ją niegodziwy syn bije więcej niż przedtem, gdyż nieszczęście chciało, że czarczaf, który wczoraj od niego dostała, zapomniała po drodze i nie może sobie przypomnieć, gdzie go zostawiła.

Na te słowa pochodnia szczęścia zaświeciła w oczach effendego i jakby młyński kamień spadł mu z piersi.

— Bóg jest miłosierny! — rzekł — opowiedz mi tylko duszko kodża-kari, jak się to stało wszystko, a dostaniesz nowy czarczaf.

— Dobroci twojej nie masz końca, sułtanie, jakżebym nie miała opowiedzieć mej smutnej przygody! Cała rzecz stała się tak: Zaledwo wyszłam wczoraj od ciebie, usłyszałam głos muezzina, który przypomniał, że właśnie w tej chwili należy się odemnie hołd Allachowi, za to, co z rąk twoich szczodrobliwych otrzymałam. Lecz ponieważ do domu miałam jeszcze daleko, wstąpiłam przeto do pierwszego po drodze i prosiłam o pozwolenie odprawienia tam namazu. Bogobojna i piękna jak hurysa niebieska, młoda hanym, przyjęła mię, prosząc bym u niej odprawiła cały obrzęd; nieszczęście jednak chciało, żem czarczaf przed modlitwą pod klęcznik podłożyła i zapomniała o nim, wychodząc z domu. Stara, zgubiłam pamięć i nie pamiętam, gdzie się to stało, a tobie tylko mój dobroczyńco zawdzięczam że na ten raz będę miała spokój w moim domu. Niech ci Bóg wynagrodzi za to w tysiączne lata i obyś dostał dziewicę tak piękną jak róża a słodką jak pomarańcza!

W miarę opowiadania Fatmy świeciły coraz jaśniej oczy effendego a uszy otwierały się dla pożądanych wieści, jak dzioby piskląt, słyszących powrót matki do gniazda. Każde słowo padało manną niebieską na spragnioną jego duszę, a zaledwo dosłuchał końca, wydobył najpiękniejszy czarczaf i z błogosławieństwem ofiarował go zwiastunce powróconego szczęścia.

Fatma podziękowała ślicznie hojnemu człowiekowi, a radość jej była tem większą, ile że doświadczonem okiem odkryła jak róże miłości znowu zakwitły w jego sercu. — Czarczafy mam — pomyślała w duchu — a oto i wrota rajskie nie będą zamknięte przedemną!

Prędko, prędko pospieszała do domu, bo dobry zamiar skrzydła przypiął do jej nóg. Przestąpiwszy zaś swój próg, oświadczyła spragnionej oczekiwaniem hanym, aby spieszyła co prędzej ku domowi i starała się pokazać mężowi, gdy będzie powracał ze sklepu, albowiem nietylko wiadomo mu, że pobłądził w swych podejrzeniach, ale nadto żal ściska jego serce na myśl, że tak srodze obraził najukochańszą żonę.

Słysząc to, piękna Aisza zalała się łzami i rzuciła się na szyję Fatmie, tuląc się do niej w nadmiarze szczęścia, jak krzak pachnącego jaśminu do szarego muru. Nareszcie słowiczy jej głos wymówił słowa pożegnania i wyleciała ze smutnej izby jak świecąca muszka złota.

Biegła prędko, bo czas południowego namazu nadchodził. A gdy zbliżała się ku domowi męża, serce jej pukało jak młotek kowalski; ujrzała bowiem postępujący ku sobie orszak weselny, a za nim ze zwieszoną głową smutnego Achmeda-effendego.

Stanęła pod murem a nogi jej drżały jak w febrze. Mijał orszak; pod narzeczoną śliczny koń, z malowanym ogonem i pozłocistym rynsztunkiem, wspaniale stąpał mierzonemi krokami i bogate wiano ślubne nieśli strojni hamali (tragarze), ubrani we wstęgi i kwiaty, a „dawuł“ (bęben) i piszczałki tak hucznie i raźnie wygrywały, że najstarszy w orszaku czuł ochotę w nogach.

Powoli stąpał jeden tylko Achmed-effendi, bo bez szczęścia i ochoty nie ma.

Już miał minąć stojącą pod murem Aiszę, gdy nagle podniósł wzrok i poznawszy ją, stanął jak wryty. Zadrżała pokorna żona i jak trwożliwa gazella, wyglądająca przeciągłym wzrokiem z gęstwiny liścia, podniosła swoje czoło, by natychmiast ze wstydem znowu je opuścić. Niby gwiazdy brylantowe z błękitnego nieba utkwiły w sercu effendego łzy w oczach pokrzywdzonej, a sumienie rzewnym głosem wyrzutu zagadało do niego.

— Żono! jeden Bóg jest nieomylny, niesłusznie cię posądziłem i skrzywdziłem, ale tyleż

bolałem co i ty. Jeżeli mi przebaczasz, wróć do mego domu!

— Aman! effendi, jak cię dawniej kochałam, tak i teraz będę, boś najdroższy dla mnie na świecie!

Wszedł do domu Achmed-effendi a w ślad za nim i pokorna Aisza, niby biały anioł. Dusze ich znowu spoczęły na różach i gwoździkach a śpiew słowika wtórował im i szczęście nie opuszczało już nigdy ich progów.

* * *

Nadszedł dzień trzeci, w którym to djabeł stosownie do umowy miał przynieść starej Fatmie prześliczne dwa czarczafy. W izbie prócz starej nie było nikogo. W oczekiwaniu siedziała i liczyła ziarna różańca. W tem niby sen przebiegł jej po oczach i zdało się, że widzi siebie na kurban-bajramie w świątecznym tłumie, lecz na niej stary dziurawy czarczaf.

— Aman! krzyknęła kodża-kari i podniosła strwożony wzrok ku drzwiom.

A tam stał już djabeł i na długiej, długiej bambusowej tyce podawał dwa prześliczne jedwabne czarczafy, jak stało w umowie. Zaledwo atoli Fatma je wzięła do ręki, kichnął przeraźliwie, aż ściany zadrżały i zniknął.

Chcecież teraz wiedzieć, na co po haremach bywają „kafesy“ i „jaszmaki“ na twarzach kobiet? Albo dla czego więcej ich siedzi w „dżehennie“ albo koło Nabaku, zamiast pić słodkie wody Salsebilu?*) Bo oto: „gdzie djabeł nie może, tam babę poszle,“ gdyż ta i jego prześciga w mądrości!“

Chociaż późno w nocy skończyło się opowiadanie Habiba, znużenia nie widać było na słuchających. Z wyrazu twarzy wielu gości, można było wnosić, że niekoniecznie brali całą powieść za wymysł bajarza; u mieszkańców bowiem Wschodu przechowało się mnóstwo rozmaitych podań guślarskich z głębokiej starożytności, wskutek czego wiara w cudowność jest dla nich rzeczą zupełnie naturalną. Łatwowierność ta bywa w sposób bardzo oryginalny wyzyskiwaną przez lowelasów, którzy poprzebierani za duchów często dostają się do haremów...

IV.

Pomimo wieczoru przepędzonego bardzo przyjemnie w Kara-Hissar, uczuliśmy jednak zrana pewien niesmak z dalszego w nim pobytu. Powodem do tego było niezadowolenie ogólne z władzy miejscowej, która z lekceważeniem potraktowała nas na wstępie. Wesoły humor kapitana okazał się bezsilnym do wypogodzenia umysłu p. B. zajętego widocznie układaniem jakiegoś planu zemsty na mutasaryfie. Niebawem nastręczyła się potemu sposobność, dzięki której, udało się francuskiej mściwości upokorzyć dumnego Turka.

Podług zwyczaju wschodniego, każdy przejezdny bywa witanym przez miejscową ludność. Władze rządowe tureckie stosując się do tego, składają wizyty znakomitym urzędnikom w przejeździe; ceremonję tę spełnia bądź sam naczelnik miejscowości, bądź osobistość przez niego delegowana. Tym razem zamiast mutasaryfa zjawił się u nas zrana jego „diwan-effendi“ (sekretarz przyboczny) i po złożeniu zwykłych gratulacyjnych komplementów, oczekiwał naszej odpowiedzi, co do czasu, w którym mamy stawić się przed jego zacnym zwierzchnikiem. Tak przypartego do muru pana B. wybawił nagle z kłopotu biskup-sufragan przy arcybiskupie ormiańskim, który przybył złożyć nam wizytę w imieniu tego ostatniego. Francuzowi błysnęły oczy z radości i natychmiast po wysłuchaniu komplementu powitalnego, z judaszowskim uśmiechem oświadczyć kazał, że obowiązkiem najmilszym dla nas będzie natychmiast złożyć rewizytę jego ekscelencji. Usłyszawszy to Turek już dłużej nie czekał, i z największym pośpiechem opuścił nasze towarzystwo; duma osmańska widocznie została mocno podrażnioną pierwszeństwem przyznanem gjaurowi. Po tej satysfakcji, atmosfera nasza jakoś się ożywiła, a po wypiciu i wypaleniu fajek, ruszyliśmy z całą ekspedycją do domu arcybiskupiego. Poprzedzali nas nasi żandarmi z Halilem-czauszem na czele.

Naśladowanie przepychu wschodniego, polegającego na otaczaniu się licznym orszakiem, bywa posuwanem aż do przesady; celują w tem zwłaszcza Francuzi. Urodzony na prowincji w małej wioszczynie, p. B. niezawodnie musiał być od dzieciństwa przyzwyczajonym do samotnych spacerów po ulicach; ale zaledwo dostał się na Wschód, wszystkich, kogo miał na około siebie, zabierał, ilekroć wypadało mu zrobić jaką wizytę urzędową. Ciekawy też widok przedstawiała nasza wyprawa na arcybiskupa. Prócz personalu inżynierskiego, towarzyszyła nam i nasza służba, dźwigająca narzędzia miernicze, pomiędzy któremi gonjometr połyskiwał niby monstrancja na procesji. Pochodowi naszemu towarzyszyły dzikie wrzaski dzieciaków tureckich: „gjaur! gjaur!“ oraz wycie psów ulicznych, które wietrzyły w nas widocznie zwiastunów zagłady ich bytu próżniaczego. Kolumna nasza atoli nie zważała na to i jak mur posuwała się naprzód, mając po środku dwie ugalonowane czapki: kapitana i p. B. niosącego pod pachą własne trzewiki paradne na odmianę.

Cały Kara-Hissar nie większy od ćwierci Lwowa; dzięki więc temu w paru minutach dostaliśmy się do rezydencji ormiańskiej ekscelencji. Mieszkanie arcybiskupie był to dosyć obszerny dom murowany o piętrze, z ciosowemi ozdobami, wcale dobrze odbijającemi od ubóstwa reszty domów; kraty w oknach i drzwi mocno okute nadawały mu charakter klasztorny. Wszedłszy do sali recepcyjnej nie zastaliśmy nikogo i nie czekając przybycia gospodarza zajęliśmy sofy obite pąsowem suknem i fotele, które nie wiedzieć po co przybłąkały się do reszty umeblowania wschodniego. Po kilku minutach oczekiwania zjawił się arcybiskup w towarzystwie swego sufragana, podobniejszego do zakrystjana ze swej potulnej miny. (C. d. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

Barwa żółta wydaje mu się zieloną; według bowiem teorji Younga poczucie barwy żółtej polega na jednoczesnem podrażnieniu włókien czerwonych i zielonych; jeżeli więc włókna czerwone są nieczułe, powstaje tylko wrażenie zielone. Jasna czerwień i barwa pomarańczowa wydadzą mu się także zielonemi, bo obie obok promieni czerwonych zawierają żółte. Jednakowoż będzie on mógł rozróżnić barwę żółtą od zieleni, pierwsza bowiem jest jaśniejszą od drugiej, przedstawi mu się zatem zielenią światlejszą niż zieleń istotna. Przyzwyczaił się zresztą światlejszą tę zieleń nazywać barwą żółtą, i mówi nawet wiele o kolorze żółtym, choć go nigdy nie widział i widzieć nigdy nie będzie, a widzi go tak, jak my widzimy zieleń silnie oświetloną. Tęcza i widmo wydają mu się węższemi, bo strony czerwonej nie widzi, reszta wydaje mu się tylko trójbarwną, złożoną z zieleni, błękitu i fijoletu. U ślepego na barwę zieloną tęcza i widmo wydają się we środku przerwane smugą szarą, natomiast przedstawiają mu się nieco nawet szerszemi, niż człowiekowi posiadającemu wzrok normalny. Jak bowiem w ogólności brak jednego zmysłu wywołuje silniejszą czułość innego, tak też nieczułość włókien jednego rodzaju, wywołuje większą drażliwość włókien innych; po za granicami przeto czerwieni i fijoletu dostrzega słabe odcienia tych barw, które uchodzą wzrokowi normalnemu. Srodek tęczy wyda mu się szarym, gdyż jest nieczułym na występującą tam zieleń; wydałby mu się nawet zupełnie czarnym, bo dla niego nie ma tam wcale światła, ale wiemy, znowu z teorji Younga, że światło zielone pobudza słabo i włókna czerwone i fijoletowe, a łączne ich działanie przywykł ślepy na barwę zieloną nazywać barwą białą, mieszaninę zaś tej barwy białej z ciemnością nazywa on barwą szarą. Dla oczu normalnych nie byłaby to zapewne barwa szara, bo i kolor biały inaczej się przedstawia dotkniętemu ślepotą barwną, niż ludziom posiadającym oczy zwykłe. Tak np. dla ślepego na barwę czerwoną ginie w świetle białem część składowa czerwona, dostrzega on tylko promienie pozostałe, pobudzające włókna zielone i fijoletowe, co wywołuje wrażenie barwy zielono-niebieskiej, która jest dopełniającą czerwonej. Z tego wypada, że ślepy na barwę czerwoną, barwę białą widzi jako niebiesko-zieloną, przywyka jednak nazywać ją białą, bo nazwę tę słyszy ciągle od innych ludzi. Możemy mieć podobne wrażenie, jeżeli nałożymy niebiesko-zielone okulary; z początku świat cały przedstawia się nam w barwie niebiesko-zielonej, zwolna jednak przywykamy do niej i nazywamy ją białą, tak że po zdjęciu okularów zdaje nam się dziwnem, że widzimy barwę białą inną, niż przed chwilą. Slepy wszakże na barwę czerwoną nie widzi barwy białej inaczej niż barwę zielono-niebieską i dziwi się, gdy kto inny ostatni ten kolor różróżnia od białego; na tym też punkcie najłatwiej pochwycić ślepego na barwę czerwoną: dosyć mu podsunąć przedmiot biały w miejsce niebiesko-zielonego i uważać, czy on tę różnicę dostrzeże.

Slepemu znów na barwę zieloną niedostaje w świetle białem składowej części czerwonej; światło białe pobudza u niego włókna tylko czerwone i fijoletowe i wydaje mu się purpurowem; świat cały jest dlań oblany światłem różanem. Także i światło zielono-żółte wydawać mu się będzie czerwonem; zieleni bowiem nie czuje wcale, promienie zaś żółte, pobudzające włókna czerwone i zielone, dla niego wywierają tylko wrażenie na pierwsze. Często przeto kolor zielony wydawać mu się będzie czerwonym, zarówno jak dla ślepego na barwę czerwoną nie jedna czerwień może się wydawać zieloną.

*) Nabak — drzewo na granicy raju muzułmańskiego. Salsebil — źródło rajskie, z wodą cudownego smaku, zaprawną imbierem i wonnościami.

Ślepota fijoletowa dotąd najrzadziej była obserwowana, ale mamy możność sztucznego jej wywołania; santonina bowiem, czyli kwas santoninowy, istota zawarta w główkach kwiatowych niektórych gatunków bylicy, zwłaszcza „Artemisia santonica“, zwanej przez Marcina z Urzędowa gliśnikiem, posiada tę osobliwszą własność, że każde normalne oko czyni chwilowo ślepem na barwę czerwoną. Dosyć w tym celu zażyć 10—20 granów santonijanu sody, — większa ilość byłaby szkodliwą; po kwadransie sprowadza ona niemiły obłęd; fijoletowy koniec widma niknie dla oka, w świetle białem giną części składowe podrażniające włókna fijoletowe i przedmioty białe wydają się zielono-żółtemi. Sztuczna ta ślepota fijoletowa ma zresztą inną przyczynę, niż naturalna; z badań bowiem mikroskopowych okazało się, że po zażyciu santoniny krew staje się daleko żółciejszą, niż zwykle; krew tak zmieniona szybko dochodzi do oka i udziela się błonom oka, tak że górne warstwy siatkówki stają się żółtemi, a że przedmioty żółte pochłaniają promienie niebieskie i fijoletowe, przeto do głębszych warstw siatkówki, w których ma właściwie miejsce przyjmowanie wrażenia światła, dochodzą tylko promienie żółte, a światło fijoletowe ginie dla oka. Badanie tej ślepoty wywołanej santoniną może być ważnem dla rozstrzygnięcia kwestji, czy trzecia kategorja włókien siatkówki doznaje wrażenia od światła fijoletowego, jak utrzymuje Young, czy też, jak chce Maxwell, jest pobudzaną przez promienie niebieskie.

Rozbieraliśmy dotąd przypadki, gdy jedna tylko kategorja włókien Younga dotknięta jest nieczułością. Ma się też zdarzać i ślepota barwna dalej zachodząca, dotykająca dwojakich włókien siatkówki; wypadki takie jednak są bardzo rzadkie i znane tylko z obserwacyj nie dosyć krytycznych. Oko, taką dotknięte ślepotą, rozróżniać może tylko ciemność od jasności, a żadnej różnicy barw nie uczuwa. (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział VIII.

(Ciąg dalszy).

Żyje czy umarł? — Opowiadanie Naba. — Ślady stóp ludzkich. — Kwestja nie do rozwiązania — Pierwsze słowa Cyrusa Smitha. — Sprawdzenie śladów. — Powrót do „dymników.“ — Nowy cios.)

Nab klęczał jakby skamieniały. Marynarz wyrzekł do niego to jedno słowo:

— Żyje?...

Nab milczał. Gedeon Spilett i Pencroff pobledli. Harbert załamał ręce i stanął jak wryty. Widocznie jednak biedny murzyn, zatopiony cały w swej boleści, ani widział swych towarzyszy, ani słyszał słów marynarza.

Korespondent ukląkł przy tem nieruchomem ciele i przyłożył ucho do obnażonej piersi inżyniera.

Podczas gdy pochylony wytężał słuch i śledził uderzeń serca, upłynęła minuta — wiek cały!

Nab odsunął się nieco i patrzał okiem szklannem i martwem, patrzał i nie widział. Zdawało się niepodobnem, ażeby rozpacz mogła zmienić bardziej twarz człowieka. Nab zmieniony był do niepoznania, wycieńczony trudami, złamany boleścią. On miał swego pana za umarłego.

Gedeon Spilett po długiem badaniu, powstał wreszcie ze ziemi.

— Żyje! — rzekł.

Teraz Pencroff z kolei ukląkł przy Cyrusie, i jego ucha doszło słabe bicie serca, a na ustach poczuł słaby oddech wydobywający się z ust inżyniera.

Harbert na skinienie korespondenta wybiegł na dwór po wodę. W odległości stu kroków od groty trafił na czyste źródło, wezbrane deszczem wczorajszym, płynące piaszczystą równiną. Lecz w co było zaczerpnąć wodę, ani jednej muszelki nie było wśród tych wydm piaszczystych!... Harbert poprzestał na tem, że zmoczył chustkę swoją we wodzie i pędem powrócił do groty.

Na szczęście ta chustka przemoczona wystarczyła Spilettowi, który chciał tylko zwilżyć trochę usta inżyniera. Tych kilka kropel źródlanej wody sprawiło bezzwłoczny skutek. Z piersi Cyrusa wyrwało się westchnienie, i zdawało się nawet, że próbował kilka słów przemówić.

— Ocalony! — rzekł korespondent.

Słowa te napełniły Naba nową otuchą. Rozebrał swojego pana do naga, ażeby się przekonać, czy nie ma na ciele jakiej rany lub skaleczenia. Ani na głowie, ani na piersiach, ani na żadnym członku nie znalazł uszkodzenia, ani nawet lekkiego draśnięcia, co tem dziwniejszem było, ile że ciało Cyrusa musiało być wyrzucone między skałami. Ręce nawet miał nietknięte i niepodobna było wytłómaczyć, jakim sposobem na całem ciele Cyrusa nie było śladu tych wysileń, jakie czynić musiał, ażeby się przedrzeć przez szereg raf sterczących w morzu.

Wyjaśnienie tych wszystkich okoliczności potrzeba było odłożyć na później. Gdy Cyrus będzie mógł mówić, sam opowie im wszystko, co i jak się wydarzyło. Tymczasem chodziło o to, ażeby go przywrócić do życia i zdawało się, że nacieranie zimną wodą powinno ten skutek wywołać. Inżynier, w którego ciało przez to tarcie gwałtowne, ożywcze wstąpiło ciepło, poruszył z lekka rękami, a oddech jego stawał się coraz regularniejszym. Umierał z wycieńczenia, i gdyby nie przybycie korespondenta i jego towarzyszy, byłoby już niezawodnie po nim.

— Więc tyś myślał, że pan twój umarł? zapytał marynarz Naba.

— Myślałem, że umarł! — odpowiedział Nab — i gdyby was Top nie był odszukał i przyprowadził tutaj, byłbym pochował mojego pana i sam umarł na jego grobie.

Na takim oto włosku wisiało życie Cyrusa Smitha!

Potem opowiedział Nab cały przebieg zdarzenia. W wilję tego dnia, ruszywszy w drogę równo ze świtem, puścił się w kierunku północnym i zaszedł w tę stronę wybrzeża, gdzie już raz był przedtem.

Tam, bez żadnej nadziei (jak sam przyznawał) szukał po brzegu, między skałami, na piasku, najlżejszych śladów, któreby go mogły na trop jaki naprowadzić. Z szczególniejszą uwagą śledził tę część namulistego wybrzeża, której morze przypływające nie dosięgało, z samego kraju bowiem przypływ i odpływ morza musiał wszelki ślad zatrzeć. Nab nie spodziewał się więcej znaleźć swojego pana żywego. Szukał tylko trupa, aby go własnemi pogrzebać rękami!

A szukał długo i bezowocnie. Zdawało się, że na tej ziemi odludnej nigdy noga ludzka nie postała. Muszle, których morze nie dosięgło, a których stosy całe leżały w miejscach niewystawionych na przypływ morza, były zupełnie nietknięte. Nie było jednej muszli rozłamanej. W koło na przestrzeni dwustu do trzystu *yardów**) nie było znaku, ażeby kto wylądował, ani dawniej, ani świeżo.

Nab postanowił pójść jeszcze kilka mil dalej. Wszak łatwo być mogło, że prąd morski poniósł ciało na jakieś miejsce odleglejsze. Rzadko się zdarza, ażeby ciało pływające po morzu niedaleko od płaskiego brzegu, prędzej lub później nie zostało na brzeg wyrzucone. Nab wiedział o tem i chciał jeszcze raz ostatni ujrzeć swojego pana.

— Szedłem wzdłuż brzegu jeszcze z jakie dwie mile, szukałem między skałami, które odpływające morze odkrywa, po całem nadbrzeżu, które przypływ morza zalewa, i straciłem już wszelką nadzieję, gdy niespodzianie wczoraj, około godziny piątej z wieczora, spostrzegłem na piasku, ślady stopy ludzkiej.

— Ślady na piasku? — zawołał Pencroff.

— Tak jest! — odparł Nab.

— I ślady te zaczynały się przy samych skałach? — zapytał korespondent.

— Nie – odparł Nab — dopiero od miejsca, gdzie przypływ morza się kończy, ślady poprzednie musiało zatrzeć morze.

— Mów dalej, Nab — rzekł Gedeon Spilett.

— Na widok tych śladów małom nie oszalał. Były bardzo wyraźne i zmierzały wprost ku tym wydmom. Biegłem za niemi ćwierć mili, uważając dobrze, ażeby ich nie zatrzeć. W pięć minut później, gdy noc poczęła zapadać, usłyszałem szczekanie psa. Był to Top i on to przyprowadził mnie tu, do mojego pana.

Nab zakończył swe opowiadanie opisem boleści, jaką doznał na widok martwego ciała! Szukał w niem resztek życia. Teraz gdy znalazł pana trupem, chciał go mieć żywym. Lecz wszystkie usiłowania jego były bezskuteczne! Nie pozostawało mu nic więcej, jak oddać ostatnią przysługę temu, którego tak kochał!

Wtedy przyszli mu na myśl towarzysze, którzy niezawodnie pragnęliby ujrzeć raz jeszcze nieszczęsnego Cyrusa! Top był przy nim. Pomyślał więc czyby się nie mógł spuścić na bystry instynkt tego wiernego zwierzęcia? Wymówił kilka razy nazwisko korespondenta, którego Top z pomiędzy towarzyszy inżyniera znał najlepiej; potem wskazał ręką na południe i pies popędził jak strzała we wskazanym kierunku.

Widzieliśmy, jak Top wiedziony nadprzyrodzonym rzeby można instynktem, przybył do „dymników,“ gdzie nigdy pierwej nie był.

Towarzysze Naba z natężoną uwagą słuchali jego opowiadania. Niepojętą wydawało się im rzeczą, że Cyrus Smith po wysileniach jakie musiał robić, ażeby wydobyć się z morza, gdy się przeprawiał przez rafy nadbrzeżne, nie miał na ciele ani jednego draśnięcia. Również wytłumaczyć sobie nie mogli, jak mógł inżynier zajść do tej groty położonej między wydmami, na milę od brzegu morskiego.

---

*) Miara amerykańska wynosząca 0m, 9144 długości. (Przyp. autora.)

— Więc to nie ty, Nab, zaniosłeś twojego pana tu w to miejsce? — zapytał korespondent.

— Nie, to nie ja — odparł Nab.

— Widać zatem, że p. Smith przyszedł tu sam — rzekł Pencroff.

— Widać, to prawda — odparł Gedeon Spilett — lecz trudno temu uwierzyć!

Okoliczność tę mógł wyjaśnić tylko sam inżynier. Należało więc czekać, aż będzie mógł mówić. Na szczęście z każdą chwilą powracało mu życie. Nacieranie przywróciło obieg krwi w ciele, Cyrus Smith poruszył znowu rękami, potem głową i kilka słów niezrozumiałych wymknęło się powtórnie z ust jego.

Nab pochylony nad nim, wołał go nieustannie po imieniu, lecz inżynier zdawał się tego nie słyszeć i oczów nie otwierał. Życie objawiało się tylko poruszeniami, zmysły nie brały w niem jeszcze żadnego udziału.

Pencroff żałował, że nie miał przy sobie ognia, a nie było możności rozniecenia go, na nieszczęście bowiem zapomniał zabrać ze sobą ów kawałek płachty spalonej, który łatwo było zatlić, za potarciem dwóch krzemyków. Kieszenie inżyniera były puste, z wyjątkiem kieszonki u kamizelki, w której znajdował się zegarek. Trzeba więc było koniecznie przenieść Cyrusa Smitha do „dymników" i to jak najspieszniej. Zdania tego byli wszyscy.

Tymczasem pieczołowita troskliwość, jaką otaczali inżyniera, przywróciła mu przytomność prędzej niż się sami spodziewali. Woda, którą zwilżali usta, ożywiała go zwolna. Pencroff wpadł na pomysł, ażeby do wody dodać trochę soku z mięsa „tetrasiego," które przyniósł ze sobą. Harbert pobiegł aż do brzegu morza i wrócił z dwiema potężnemi muszlami. Marynarz sporządził rodzaj mikstury i wsączył ją w usta inżynierowi, który zdawał się wciągać w siebie chciwie tę mięszaninę.

Poczem otworzył oczy. Nab i korespondent stali nad nim pochyleni.

— Panie mój! drogi panie! — zawołał Nab.

Inżynier usłyszał ten krzyk. Poznał naprzód Naba i Spiletta, potem i tamtych dwóch towarzyszy, Harberta i marynarza i dłoń jego ścisnęła słabo ich dłonie.

I znowu kilka słów wymknęło się z ust jego, niewątpliwie te same co pierwej, a słowa te wskazywały jakie myśli już wtedy tłoczyły się w jego głowie. Tym razem zrozumieli ich brzmienie:

— Wyspa czy stały ląd? — szepnął.

— Do kroćset djabłów! — zawołał Pencroff, nie mogąc się wstrzymać od tego wykrzyknika, co nas to teraz obchodzi, jeżeli tylko pan żyjesz, panie Cyrus! Czy wyspa, czy stały ląd — to się później pokaże.

Inżynier skinął głową potakująco i zdawał się usypiać.

Zachowywano się więc jak najspokojniej, a korespondent rozpoczął natychmiast przygotowania do jak najwygodniejszego przeniesienia inżyniera. Nab, Harbert i Pencroff opuścili w tym celu grotę i podążyli ku wysokiej wydmie piaszczystej, na której szczycie rosło kilka drzew karłowatych; po drodze marynarz nie mogąc wytrzymać, powtarzał raz po raz:

— Wyspa czy stały ląd! No proszę, komu by to przyszło na myśl, kiedy ledwie co dycha! Dziwny człowiek!

Przybywszy na wierzchołek wydmy, Pencroff i dwaj towarzysze jego, odarli jedno drzewo dość suchotnicze z głównych gałęzi, nie mając do tego innych narzędzi, prócz gołych rąk. Był to gatunek sosny morskiej, pochylonej przez wichry; z gałęzi tych sporządzili nosze, na których, wyścieliwszy je liśćmi i trawą, można było wygodnie przenieść inżyniera.

Cała ta robota trwała czterdzieście minut, a dochodziła już dziesiąta, gdy marynarz, Nab i Harbert powrócili do Cyrusa, którego przez cały ten czas ani na chwilę nie odstępował Gedeon Spilett.

Inżynier przebudził się właśnie z tego snu, albo raczej omdlenia, w którem go znaleźli. Rumieniec powrócił znowu na twarz jego, który pokrywała dotychczas śmiertelna bladość. Dźwignął się nieco, popatrzył w około jak gdyby pytał ich wzrokiem, gdzie się znajduje.

Możesz mnie pan słuchać, nie będzie to pana męczyć, panie Cyrus? rzekł korespondent.

— Mogę odparł inżynier.

— Ja sądzę, rzekł marynarz, że p. Smith jeszcze lepiej będzie mógł pana słuchać, gdy pierwej skosztuje jeszcze raz tej galarety z tetrasów — bo to są tetrasy, panie Cyrus, objaśniał go, podając mu odrobinę tej galarety, do której tym razem dodał kilka cząsteczek mięsa.

Cyrus Smith spożył te kawałeczki tetrasów, a reszta rozdzieloną została pomiędzy jego trzech zgłodniałych towarzyszy, którzy uskarżali się na zbyt skąpe śniadanie.

— To nic, rzekł marynarz. W „dymnikach" czekają na nas wiktuały, bo musisz pan wiedzieć, panie Cyrus, że tam na południu, mamy dom z pokojami, łóżkami i kuchnią, a w śpiżarni kilka tuzinów ptaków, które nasz Harbert nazywa „kurukusami." Lektyka pańska gotowa i skoro się pan poczujesz na siłach, poniesiemy pana do domu.

— Dziękuję ci, przyjacielu, odparł inżynier, za godzinę lub dwie będziemy mogli wyruszyć... A teraz mów, panie Spilett.

Wtedy korespondent jął opowiadać cały tok wypadków. Opowiadał fakta takie, o których Cyrus nie mógł wiedzieć, o ostatnim upadku balonu, o ich wylądowaniu na tej ziemi nieznanej, które zdawała się odludną na każdy wypadek, czy była wyspą, czyli stałym lądem, o odkryciu „dymników," o poszukiwaniach za straconym inżynierem, o poświęceniu Naba, o zasłudze wiernego Topa i t. d.

— Więc to nie wy znaleźliście mnie na brzegu morskim? zapytał Cyrus głosem jeszcze osłabionym.

— Nie, odparł marynarz.

— I nie wy to przynieśliście mnie do tej jaskini?

— Nie.

— Jakże więc daleko odległą jest ta grota od raf nadbrzeżnych?

— Około pół mili, odparł Pencroff, i nietylko pana to dziwi że się znajdujesz w tem miejscu, ale nas samych niemniej to zdumiewa.

— W istocie, rzekł ożywiając się co raz bardziej inżynier, którego te szczegóły mocno zaczęły interesować, w istocie, to coś szczególnego!

— Możeż że nam pan opowiedzieć, zagadnął znowu marynarz, co się stało z panem od chwili, gdy pana porwał ów bałwan morski?

Cyrus Smith wytężył całą swą pamięć, lecz nie wiele mógł sobie przypomnieć. Bałwan morski oderwał go od sieci balonowej. Zanurzył się najprzód kilka sążni w głąb. Wypłynąwszy napowrót na powierzchnię morza, poczuł w tym półmroku, że jakaś żywa istota porusza się tuż obok niego. Był to Top, który skoczył za nim na ratunek. Podniósłszy w górę oczy, nie zobaczył więcej balonu, który uwolniony z ciężaru jego i psa, strzelił w obłoki jak strzała. Ujrzał się wśród fal rozhukanych, w odległości nie więcej jak pół mili od brzegu. Usiłował walczyć z falami i płynął co sił mu starczyło. Top podtrzymywał go za suknie; lecz prąd jakiś szalony porwał go, uniósł na północ i po półgodzinnem szamotaniu się, zapadł w otchłań morską, pociągając Topa za sobą. Odtąd aż do chwili gdy ujrzał się w objęciach przyjaciół, nie pamiętał, co się z nim działo.

— Wszak musiałeś pan być wyrzuconym na brzeg, zagadnął znowu Pencroff, i musiałeś posiadać dość sił, ażeby zajść sam aż tutaj, skoro Nab znalazł ślady stóp pańskich na piasku!

— Zapewne... że musiałem... odparł inżynier zamyślając się. A nie widzieliście żadnych więcej śladów ludzkich na tej ziemi?

— Żadnych, odparł korespondent. A zresztą, gdyby się i znalazł był jaki wybawca, to wydobywszy pana z morza, dlaczegoż by miał potem pana opuścić?

— Masz słuszność, kochany Spilett. — Słuchaj Nab, dodał inżynier zwracając się do swego sługi, więc także i ty nie... a może w jakiej nieprzytomności chwilowej... lecz nie, to nie ma sensu... Czy jest jeszcze który z tych śladów? zapytał Cyrus Smith.

— Tak jest, panie, odparł Nab, ot tam zaraz przy wyjściu, z drugiej strony tej samej wydmy, w miejscu zakrytem od wiatru i deszczu. Resztę śladów zatarła burza.

— Panie Pencroff, rzekł Cyrus Smith, będziesz łaskaw wziąć swoje trzewiki i przymierzyć czy dokładnie przystają do owych śladów?

Marynarz usłuchał inżyniera. On i Harbert udali się za Nabem w miejsce, gdzie były owe ślady. Podczas tego rzekł Cyrus do korespondenta:

— Tu stało się coś niepojętego!

— Coś niepojętego, zaiste! odparł Gedeon Spilett.

— Lecz dajmy teraz temu pokój, kochany Spilett, później o tem pomówimy.

Po chwili wrócili marynarz, Nab i Harbert.

Nie było żadnej wątpliwości. Trzewiki inżyniera przystawały dokładnie do pozostałych śladów. Więc nikt inny tylko Cyrus Smith wydeptał je na piasku.

— Co u licha, rzekł, więc to ja musiałem podpaść tej hallucynacji, tej nieprzytomności, o którą przed chwilą posądzałem Naba! Szedłem jak lunatyk nie wiedząc dokąd idę, więc to Top instynktem swoim zaprowadził mnie tutaj, wyrwawszy mnie wpierw z toni morskiej... Chodź tu do mnie, Top, chodź tu mój psie!

Wspaniałe zwierze jednym susem poskoczyło do swojego pana, głośno szczekając — oczywiście nie szczędzono mu pieszczot i pochwał.

Trzeba przyznać, że niepodobna było inaczej wytłumaczyć ocalenia Cyrusa Smitha i że Topowi należała się cała zasługa.

Około południa Pencroff zapytał Cyrusa, czy gotów jest do podróży, na to Cyrus za całą odpowiedź z wysileniem znamionującem niepospolitą siłę woli, powstał na nogi. Lecz musiał oprzeć się na ramieniu marynarza, ażeby nie upaść.

— Brawo, brawo! rzekł Pencroff. A oto jest lektyka pana inżyniera.

Przyniesiono nosze. Poprzeczne gałęzie wyścielili mchem i trawą. Następnie położyli Cyrusa na to posłanie i ruszyli w drogę ku brzegowi morskiemu, za jeden koniec dźwigał Pencroff, a za drugi Nab.

Mieli przed sobą ośm mil drogi, lecz ponieważ nie można było iść szybko, a prócz tego wypadało często się zatrzymywać, więc przed upływem najmniej sześciu godzin nie można się było spodziewać stanąć u celu.

Wicher był zawsze jeszcze silny, ale na szczęście deszcz nie padał. Inżynier leży na noszach, wsparty głową na ręku, wodził bacznie wzrokiem po całem wybrzeżu, a zwłaszcza po części jego przeciwległej morzu. Nie mówił ani słowa ale patrzał uważnie i niezawodnie rysopis całej okolicy z wszystkiemi właściwościami terenu, z lasami i rozmaitemi rodzajami płodów utkwił mu silnie w pamięci. W końcu jednak po dwóch godzinach drogi opanowało go znużenie i usnął na noszach.

O godzinie wpół do szóstej przybyła cała kawalkada do rogu skalnej ściany a w kilka minut później do „dymników."

Zatrzymano się a nosze postawiono na piasku. Cyrus Smith spał twardo, i nie przebudził się.

Wtedy dopiero postrzegł Pencroff ku największemu swemu zdumieniu, jakie zmiany poczyniła wczorajsza nawalnica. Na wielu miejscach widać było świeże zwaliska skał. Olbrzymie bryły granitu leżały w piasku nadbrzeżnym, a gęsty kobierzec z morskiego ziela pokrywał brzeg cały. Widać było, że morze, przewalając się przez wysepkę, dotarło aż do stóp olbrzymiej granitowej kurtyny.

Przy wejściu „dymników" grunt powyrywany świadczył o gwałtownym szturmie fal morskich.

Pencroffa ogarnęło wówczas jakieś przeczucie złowrogie i jednym skokiem znikł we wnętrzu kurytarzy.

Po chwili wyszedł, stanął milczący i nieruchomy i powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach...

Ogień zagasł. Popiół zalany wodą przemienił się w namuł. Ów kawał płachty spalonej, który miał służyć zamiast czyru, przepadł bez śladu. Morze wtargnęło było aż w głąb kurytarzy i wszystko zburzyło, wszystko poniszczyło we wnętrzu „dymników"!...

(C. d. n.)

PROŚBA.

O złóżcie mnie cicho na białem posłaniu
W obłoku jasności i woni...
Niech usnę spokojnie po długiem konaniu
Z mym wieńcem męczeńskim na skroni!
Niech usnę spokojnie... a zanim się z wieczną,
Grobową powitam jutrzenką —
Kołyszcie mnie duchy piosenką serdeczną,
Niebiańską mych marzeń piosenką!

Niech tutaj zostaną łzy moje bezsilne —
Ból życia niech tutaj opada!
Niech za mną nie idą za progi mogilne
Zwątpienie i rozpacz ta blada!

Niech za mną nie idą! bo serce mi pęknie
Gdy groźne tam staną przed Bogiem —
Gdy dziki krzyk żalu tam skargę wyjęknie
Na wszystko, co było mi drogiem!

Och, umrzeć!... miłości, nadziejo i wiaro
Powróćcie do serca sieroty!
Nad mętną jej życia pochylcie się czarą
I rzućcie w nią promień swój złoty.
I wszystkie sny moje... przeczyste — liljowe —
Powróćcie! oplećcie mnie w kole,
I miękko otulcie ciężącą mą głowę,
I żar ten ochłódźcie na czole!

Raz jeszcze rozchylcie spróchniałe całuny,
Rozbudźcie mi echa tej lutni —
Nawiążcie te dźwięczne, te tkliwe jej struny
Co w piersi zerwali — okrutni!
A może w tej pieśni, co zdrojem wypłynie,
Duch rany palące obmyje —
I może w tej jasnej skonania godzinie
Straconą swą wiosną odżyje!

I cichnąc — podobnie choremu dziecięciu
Spłakane opuści powieki —
I tonąc w tej pieśni, jak w matki objęciu,
Z uśmiechem zamilknie na wieki!
Tak słodko śmierć koi cierpienia tułaczy,
Tak błogo do piersi swej tuli...
O nieście jej echa głos mojej rozpaczy,
A może się prośbą rozczuli!

18. Stycznia

Marja B.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

ROZDZIAŁ VI.

(Ciąg dalszy.)

Wspomniałem już, że ks. Chyżycki opowiedział był p. Zameckiemu wszystko, co dotychczas wiemy o Wacławie; p. Tadeusz zaś powtórzył to żonie, nazywając ją żartobliwie opiekunką wszystkich zakochanych młodych ludzi i polecając jej dobremu sercu równie łaskawe zajęcie się kłopotami miłośnemi pana Rolińskiego, jak i panny Wandy Ciechockiej. Pani Helena była tego dnia wszczególnie w dobrym humorze i odpowiedziała mężowi ze śmiechem, że nie zechce może, ażeby leczyła tego młodego inżyniera metodą homeopatyczną? P. Tadeusz odparł na to dobrodusznie, że homeopatja nie jest nigdy szkodliwą, bo zadaje leki w nadzwyczaj skąpych dawkach, i tak rozprawiano dalej i śmiano się długo przed obiadem, przyczem nie brakło ze strony pani Heleny dowcipnych alluzyj do owej tajemniczej „wychowanki" p. Tadeusza, o której wspominał tak często, a której nigdy nie pokazał żonie. Pani Helena zapytała była nawet złośliwie, czy pan mąż nie podejrzywa jej o szczególny talent w odkrywaniu podobieństwa rysów, i czy byłby pierwszej pani Zameckiej wspominał z taką swobodą o swojej „wychowance," z jaką mówił teraz? Na to zachmurzył się był trochę p. Tadeusz, i odparł, że gdyby był miał zająć się losem tej dziewczynki za życia pierwszej swojej żony, nie byłby z tego robił tajemnicy, bo nie miał powodu. Chciał jeszcze dodać, że gdyby żyła jego pierwsza żona, byłaby wzięła ową dziewczynkę do swego domu, i byłaby ją wychowywała jak najtroskliwiej, ale namyślił się i nie powiedział tego, a rozmowę skierował na inny przedmiot. Ciekawość co do nieznanej wychowanki męża obudziła się jednak na nowo, jak już nieraz przedtem, w umyśle pani Heleny, i ciekawość ta była może jednym z powodów, dla których teraz wezwała Wacława, ażeby jej towarzyszył w przejażdżce.

W czarnej amazonce, w kapeluszu z długim ciemnym woalem, pani Zamecka wyglądała na swojej arabskiej, skarogniadej klaczy, o ile to być mogło, jeszcze piękniej, niż w białej sukni na werandzie. Wacław wpatrywał się od czasu do czasu w jej rysy twarzy jak w niedocieczoną jakąś zagadkę, podczas gdy kozak p. Zameckiego jadąc w pewnem oddaleniu za „państwem," drzymał na siodle, albo spoglądał smętnie na koniec cybuszka od fajki, którą miał w kieszeni swojej kurtki, a której nie śmiał zapalić tym razem. — Bodaj to, myślał sobie, nasz panicz z Kruchówki! On wie, że człowiekowi nudno bez lulki, i zawsze, skoro wyjedziemy za wieś, powiada: Dubyna! Ta zakury sobi lulku, ino trymaj sia z daleka, bo panią rozboli głowa od twojego tytoniu! Poczciwe panisko! Ej, co tam, dodał w duchu Dubyna, i kiedy go Wacław nie zachęcał do zrobienia sobie zwykłej przyjemności, umilającej przejażdżkę po świeżem powietrzu, zatrzymał trochę konia, skrzesał ognia i za chwilę dymił jak lokomotywa, uważając tylko, ażeby wiatr nie zaniósł woni „bakunu" ku nerwom „pani hrabiny," w którym to celu przyzostał się o jakich pięćdziesiąt kroków za nią.

— Czego on się tak wpatruje we mnie jakoś dziwnie? myślała w tej samej chwili pani Zamecka, rzuciwszy okiem na Wacława. Czy mimowoli, nie rozpoczęłam z nim homeopatycznej kuracji? I tu nagle przerwała obopólne milczenie niespodzianym wybuchem spazmatycznego śmiechu, jakim nas czasem zdumiewają kobiety, nie umiejąc później wytłumaczyć jego przyczyny.

Wacław zajęty był właśnie w duchu porównaniem szczegółowem jej rysów twarzy z pięknemi rysami Helenki Gródeckiej. Były to niewątpliwie te same oczy, ocienione długiemi rzęsami, tylko wyraz ich był nieco odmienny. W ogóle, pod względem wyrazu, mimo prawdziwie portretowego podobieństwa, zachodziła znaczna różnica między Helenką a panią Zamecką. Helenka miała ten sam nosek grecki, te same usta, te same włosy, tę samą płeć, jakkolwiek świeższą i delikatniejszą, ale pomimo to, jak głoski w homonimach, chociaż są te same i ustawione w tym samym szyku, inne mają znaczenie w jednym wypadku, a inne w drugim, tak i tutaj, te same szczegóły po bliższem przypatrzeniu się dawały inną całość. Wacław nie mógł zdać sobie sprawy z tego, w czem leżała ta różnica. i myślał o niej w roztargnieniu, gdy nagły wybuch śmiechu pani Heleny przerwał milczenie. Śmiech ten wywołał w nim coś na kształt lekkiego dreszczu, taki był metaliczny, przenikliwy, piękny, ale nie serdeczny, nie taki, jakim śmiech być powinien. Helenka nigdy tak się nie śmiała.

— Zdaje mi się, że odkryłem różnicę — pomyślał Wacław, powstrzymując się w ruchu objawiającym zdziwienie wywołane niespodzianą wesołością pani Zameckiej — ona ma coś demonicznego w składzie ust i w spojrzeniu, czego nie ma Helenka.

— Chachacha! — śmiała się dalej pani Zamecka. — Panie Roliński, jak się panu podoba p. Zgorzelski?

— Nie miałem dostatecznej sposobności...— odparł Wacław zakłopotany.

— Ale czy uważałeś pan jedną rzecz? Czy uważałeś pan, że pana Zgorzelskiego nie podobna namówić, ażeby usiadł inaczej, jak tylko plecami do ściany, i to broń Boże, nie przed zwierciadłem?

Wacław widział p. Alfreda tylko raz w życiu, przez dziesięć minut, i nie mógł zrobić tego spostrzeżenia, wymagającego dłuższych studjów nad metodą, której trzymał się p. Zgorzelski przy siadaniu. Ponieważ atoli spostrzeżenie to było już zrobione, nie wypadało jak tylko wyrazić coś na kształt zdziwienia nad tą szczególną sympatją ku ścianom a antypatją ku zwierciadłom.

— Chachacha — śmiała się dalej pani Helena — pan Zgorzelski łysieje, nie jak inni, od czoła, ale ponad karkiem, i radby ukryć tę szpetną okoliczność przed okiem ludzkiem. Trudno pojąć, jak mogą istnieć ludzie, którzy całe życie silą się na to, ażeby coś udawać lub ukrywać przed światem. Nieprawdaż?

— Bardzo to smutne i niewdzięczne zajęcie.

— A jednak — dodała pani Zamecka, jakby dla siebie i po namyśle — wszyscy coś ukrywamy, albo coś udajemy.

Wacław miał minę człowieka, niesłusznie obwinionego, i nie poczuwającego się do żadnej winy.

— Nie powiadam — mówiła dalej, by każdy miał do ukrywania jakiś uczynek, albo jakąś ułomność fizyczną lub moralną, ale są inne rzeczy, z któremi taimy się, nieraz sami przed sobą, a przed innymi, zawsze. Weźmy, np. niedoścignione, nieziszczone ideały pierwszych lat naszych, które kryjemy gdzieś w zakątku duszy, i nie śmiemy nawet pozwolić sobie tej przyjemności, jaką ma np. człowiek zrujnowany materjalnie, gdy od czasu do czasu wydobędzie z ukrycia ostatni grat kosztowny, który mu został z lepszych czasów, dajmy na to, pierścień, albo medaljon, odczyści go, ogłądnie, westchnie, i schowa napowrót.

— Ideały nie są gratami, któreby można odświeżać i przewietrzać bezkarnie.

— Więc pan nigdy nie „przewietrza“ swoich ideałów? — zapytała naiwnie. — Ale przepraszam pana, zapomniałam, że pan jeszcze nie miałeś czasu być zrujnowanym, i zatęsknić za zabytkami z lepszych czasów! O, wiem to, wiem — dodała z westchnieniem — że ideałów młodości nie można odświeżać bezkarnie!

To rzekłszy, puściła konia w cwał, i zamilkła. Po chwili dopiero, ciągle jakby w roztargnieniu, odezwała się z nienacka:

— Opowiedz mi pan, jak wygląda pański ideał?

Wacław uśmiechnął się smutnie i zapewnił, że nie ma żadnego ideału.

— To opowiedz mi pan co innego, bo wypada przecież, ażebyś mię pan bawił rozmową. Opowiedz mi pan naprzykład, jak wygląda pewna panienka, która bawi u mojego ciotecznego brata, pana Skryptowicza..

Zagadnienie to było dla Wacława czemś zupełnie niespodzianem, i skonfundowało go niepospolicie. Czyliby pani Zamecka wiedziała o jego tajemnicy? Nie było czasu rozmyślać nad tem, wypadało odpowiedzieć.

— Czy pani mówi o pannie Helenie Grodeckiej?

— Tak — odpowiedziała ta, która w tej chwili po raz pierwszy słyszała to imię i nazwisko. — O pannie Helenie Grodeckiej; opowiedz mi pan, jak wygląda panna Helena Grodecka? I jakiś niespokojny ruch kapryśnej amazonki wprawił jej ognistą klacz w galop szalony. — Jakże, mów pan, brunetka, blondynka, słuszna, mała?

— Łatwo mi przyjdzie opisać ją pani. Gdy pani wróci do zamku, niechaj pani spojrzy w zwierciadło, a z małemi bardzo niedokładnościami, będziesz pani miała przed sobą taki wykapany, jak to mówią, portret panny Heleny, jakiego z pewnością żaden malarz nie wykona tak wiernie. Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć takiego podobieństwa między dwiema osobami, nie należącemi do jednej rodziny. Lecz mylę się...

Raptowne szarpnięcie cuglami osadziło na miejscu skarogniadą klacz arabską, a Wacław zaledwie o parę kroków dalej zdołał zatrzymać swojego konia. Nie dostrzegł więc niezrozumiałego spojrzenia, które było odpowiedzią pani Zameckiej na jego rysopis Helenki Grodeckiej. Gdy konie zrównały się znowu, pani Zamecka śmiała się znowu tym śmiechem, co pierwej, srebrnym wprawdzie, ale jakoś nie idącym z serca do serca.

— Jestem dumną z mojej Zulejki — rzekła — i Tadeusz, który mię uczył jeździć konno, może być dumnym ze swojej elewki. Mam tę ambicję, że sam Abel-el-Kader nie osadziłby lepiej na miejscu swojego bieguna. Przyznam się, że chciałam panu wyrządzić psotę; myślałam, że kasztan mojego męża zatrzyma się także pod panem niespodzianie, i że pan będziesz musiał chwycić się grzywy. Rada jestem, że mi się nie udało. Prawda, jak Rymiszów pięknie wygląda z tej góry?

— Przecudnie. Znam ten punkt oddawna, bo urodziłem się w tych stronach, i wychowałem się w cieniu lip, które tam widać obok kościółka. Mnóstwo wspomnień z lat dziecięcych łączy się dla mnie z tym krajobrazem, często smętnych, ale zawsze rzewnych, a nieraz miłych.

— Ach, ten kościołek! W istocie, nie znam nic poetyczniejszego! Lubię go niewymownie. Czy uważałeś pan obraz Matki Boskiej nad wielkim ołtarzem? Sprowadziłam go z Włoch, chociaż Tadeusz śmiał się ze mnie, że go przepłaciłam, bo dałam się oszukać handlarzowi, który wmówił we mnie, że jest to oryginał Rafaela. Mniejsza o to, mam szczególną predylekcję, powiem nawet, szczególne nabożeństwo do tego obrazu. Nic wznioślejszego i bardziej rozczulającego, nad wyraz miłości i dumy macierzyńskiej, z jaką Bogarodzica piastuje swoje dziecię. To jest prawdziwy ideał matki! Coś nad wszelki opis świętego, wielkiego. Zdarza mi się, że czasem po południu proszę księdza Chyżyckiego, ażeby mi kazał otworzyć kościół, i długo, długo siedzę i dumam z oczyma wlepionemi w matkę z boskiem dziecięciem na ręku! Matka! Jakie to słowo!

— Państwo — zapytał Wacław nieśmiało — nie mają dzieci?

— Niestety — westchnęła pani Zamecka — niebo odmówiło mi tego szczęścia! Jest to moim „niedoścignionym, nieziszczonym ideałem,“ i dla tego zapewne tak mię wzrusza ten obraz. Jest on dla mnie tem, czem dla człowieka nieszczęśliwego zabytek, którego widokiem pieści się, przypominając sobie szczęście prześnione, wyrojone, w rzeczywistości nie zaznane!

W tej chwili, demoniczny wyraz znikł był zupełnie z jej twarzy, i była znowu łudząco podobną do Helenki. Wacław porwany był, przejęty sympatją dla uczuć, które objawiała jakby nie myśląc o tem, oto tak mimochodem. Dumał nad tem, że nie zdawała mu się być zupełnie szczęśliwą, i nad tem, dlaczego wypytywała go o Helenkę Grodecką, i zkąd wiedziała, że ją zna? Mimowoli zwrócił rozmowę bliżej do tego przedmiotu.

— Kuzyn pani, pan Skryptowicz, zrobiłby mnóstwo satyrycznych uwag, gdyby nas usłyszał mówiących o „ideałach.“

— Ach, Skryptowicz! — rzekła z pogardą. — Jest to człowiek niesłychanie trywialny. Nie zwracam nigdy uwagi na to, co on mówi. Dziwi mię raczej, że są inni, na pozór ludzie z sercem i z głową, którzy prawią niemal to samo, co mój kuzyn, i zaprzeczają wszystkiemu, czego nie mogą dotknąć się, ująć, zmierzyć lub zważyć. Ale panna Helena, dodała z uśmiechem, wierzy w ideały? Nie stroi sobie żartów z niczyjego uczucia, dla tego, że ono nie jest pozytywnie uzasadnione, matematycznie obliczone co do chwili, miejsca, i kierunku swojego wybuchu? Niech pan się nie gniewa na mnie, dodała, widząc niemiłe wrażenie, jakie sprawiały jej słowa. Widzę, że byłam niedyskretną, i że chcąc żartować bez celu, drasnęłam ponoś dotkliwą na serjo stronę.

Niezmiernie łagodne i dobrotliwe spojrzenie, i podanie ręki do przyjacielskiego uścisku, towarzyszyło tym słowom. Pani Helena i Wacław wrócili do zamku w najlepszej komitywie, i z budzącą się, obopólną, przyjacielską sympatją ku sobie.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

RECENZJA

A. Świętochowskiego.

(Ciąg dalszy.)

(*Culturgeschichte in ihrer natürlichen Entwickelung bis zur Gegenwart, von Friedrich von Hellwald; Augsburg. 1875.— Najnowsza historja cywilizacji.*)

Ciekawą kwestją jaką mi z kolei dotknąć wypada jest pogląd autora na prawa postępu. Pogląd ten zlepiony jest z dwu głośnych zasad dwu wielkich myślicieli — walki o byt Darwina i nieruchomości prawd moralnych Buckla. Z tego złożyła się Hellwaldowi następująca formuła: „Człowiek poprawia się w zewnętrznych stosunkach swego życia lecz nie „ulepsza się“ we względzie własnej doskonałości. Uważne badanie historji uczy nas, że nawet społeczne zjawiska się nie zmieniają, a chociaż w rozmaitych epokach objawiają się w rozmaity sposób, co do swej istoty wszakże pozostają niezmienne. Istnieje postęp w pracy mechanicznej, lecz ten nie jest jej ulepszeniem a tylko ulgą dla robotnika W sferze tak zwanej humanitarności, rozumu lub moralności żaden postęp od tysiąców lat się nie okazał.“ Kto przeczyta te wyrazy, w pierwszej chwili sądzić musi, że ma przed sobą jakieś drukarskie pomyłki. Usłyszeć bowiem z ust poważnego badacza, że nasze przyrodzone zdolności umysłowe są tejże samej miary co naszych przodków z kamiennego okresu lub dzisiejszych Buszmanów, że nasz rozum i społeczne urządzenia wcale się nie różnią od rozumu i urządzeń dzikich, usłyszeć powiadam to z ust przytomnych i poważnych, równa się najwyższemu zdumieniu. Tu dopiero widzieć możemy, jak trudno nawet najniepodleglejszym umysłom uwolnić się od apri-

oricznych założeń i jak one łatwo przy swej „idée fixe“ ślepną na najwidoczniejsze prawdy. Hellwald bowiem w swej filozofji wychodzi z tej zasady, że światem rządzą mechaniczne i „niezmienne siły.“ Ażeby więc zasadę tę czemkolwiek poprzeć, zadaje kłamstwo faktom, nie uznaje tego w ogólnem prawie co kreśli w szczegółowem rozwoju, tj. każe duchowym siłom człowieka nie zmieniać się. Naciągnięcie to pozbawione jest tak dalece wszelkich realnych dowodów, że nie tylko autor nie wzmocnił go swym faktycznym wykładem, ale nawet zupełnie je osłabił. Przez cały nawet ciąg książki zdaje się zupełnie o owej nieruchomości zapominać i dopiero na stronicy 702 występuje ona połowicznie, — jako nieruchomość moralna. Tu już Hellwald akcentuje swoje przekonania z podwójną energją, decydując stanowczo, że żaden moralny postęp nie istnieje. Ponieważ twierdzenie to ma dość liczne pozory słuszności i głoszone jest jako dogmat przez wielu poważnych pisarzy, rozbiorę je więc szczegółowiej.

Jak wiadomo, pierwszem istotnie naukowem i najbardziej rozstrzygającem zaprzeczeniem moralnego postępu była opinja Buckla. W „Historji Cywilizacji Anglji“ poświęca on temu przedmiotowi osobny rozdział, w którym rozsnuwa swą argumentację na tych głównych punktach: „Podwójny postęp, obyczajowy i umysłowy, łączy się z istotą samego pojęcia cywilizacji i obejmuje w sobie całość postępu ducha. Mieć wolę wypełniania naszych powinności stanowi część obyczajową, wiedzieć jak ją wypełniać, jest częścią umysłową. Postęp nie jest spotęgowaniem władz wewnętrznych, lecz ulepszeniem zewnętrznych okoliczności.“ Jak widzimy, dotąd jest Buckle wzorem dla Hellwalda, który jego myśl tylko sparafrazował i do większej przesady posunął. Gdyż jakkolwiek Buckle przypuszcza że nasze władze się nie doskonalą, objęta wszakże niemi wiedza według niego postępuje. Tylko prawdy moralne są „nieruchome.“ „Odnośnie do naszego moralnego prowadzenia się — powiada on — nie ma ani jednej pomiędzy znanemi najucywilizowańszym narodom europejskim zasadami, któraby nie była znana i starożytnym.“ Ten i temu podobne sądy podyktowała Bucklowi z jednej strony nieznajomość faktów, z drugiej pomięszanie pojęć. Innemi słowy: Buckle nie posiadał dość naukowego materjału i nie zanalizował ściśle praw cywilizacyjnego rozwoju. Pierwszy niedostatek uwydatnia się w przekonaniu, że pewne etyczne reguły „znane były przed tysiącami lat, a kazania, homilije i księgi nabożne nie przysporzyły do nich ani litery.“ Tak np. znanym miał być dogmat: kochaj bliźniego jak siebie samego, gdy tymczasem nie spotykamy go ani u jednego z tak zwanych narodów dzikich, a nawet w powszechnej formie nie znała go i starożytność. Zresztą nie potrzebuję na to ze swej strony stawić dowodów, dość gdy zacytuję przypisek, jaki Buckle naiwnie w kilka stronic po wygłoszeniu swego prawa umieszcza: „U niektórych plemion macedońskich — powiada on — kto nigdy nie zabił nieprzyjaciela, był znaczony haniebnem znamieniem. W Borneo nie może żenić się ten, kto nie przyniesie głowy ludzkiej, a kto ich posiędzie większą liczbę, tego poznać można po dumnej i wyniosłej postawie — bo to jest jego dyplom szlachectwa?“ Czy dziś także „hańbą“ jest nie zabić a „szlachectwem“ zabić kogoś? Jak wspomniałem, Buckle nie rozumie jasno natury praw moralnych, gdyż przyjmując „postęp obyczajowy“ nie uznaje „postępu moralnego“ co wcale nie jest od siebie różnem, powtóre obok swego zaprzeczenia stawia takie uwagi: „Przekonania upowszechnione w narodzie zmieniają się pod wielu względami od roku do roku a to, na co w jednym okresie uderzają, jako na niedorzeczność, lub herezję, w innym znowu czasie uznane jest za zbawienną prawdę, którą znowu w dalszym czasie zastępują inne — nowsze. Główna więc przyczyna czynności ludzkich jest nadzwyczaj zmienna.“ Jeżeli więc miara, którą ludzkość ocenia swoje czyny podlega ciągłej zmianie, czyż to znaczy że pojedyńcze znaki tej miary, tj. prawdy moralne są „nieruchome?“ O ile Buckle był nie uważny względem faktów, któremi się sam posługiwał, pokazuje następujący szczegół. Na udowodnienie, że „uczucia religijne nie zdołają powstrzymać prześladowań religijnych“, przywodzi on dwa przykłady: jeden z czasów pogaństwa, mianowicie że moralnie najzacniejsi cesarze (jak Marek Aureljusz) byli najzawziętszymi nieprzyjaciołmi Chrześcijan, a drugi z czasów Chrześcijaństwa, że najokrutniejsi inkwizytorowie byli najuczciwszymi ludźmi. Nie znam silniejszych argumentów przeciw dowodzeniu Buckla nad te dwa przykłady. Jeżeli bowiem przed wiekami ludzie moralni kierowali się zasadami, które my dziś uważamy za niemoralne, to nie znaczy nic innego, tylko że prawdy moralne się zmieniły. „Ukarać — powiada Buckle — chociażby jednego człowieka za jego religijne przekroczenie jest niezaprzeczenie jedną z najcięższych zbrodni.“ Czy ta prawga moralna również znana była „przed tysiącami lat“ i czy ją nawet przeczuwał Marek Aureljusz lub inkwizytorowie?

(C. d. n.)

POGADANKI.

XVIII.

„Salon literacki,“ jest to zestawienie wyrazów, w których nie mieści się wcale tak zwana *contradictio in adjecto*. Bynajmniej. Wydaje się to tylko tak w pewnem mieście, z powodu, iż w salonach tamtejszych nie znają nawet liter, a tem mniej, znają literaturę, podczas gdy literatura ze swojej strony bywa do tego stopnia niesalonową, że często możnaby ją zaledwie tolerować w stajni, albo w pewnej niziutkiej budzie na podwórzu, a nawet nie w przedpokoju ani w kuchni. Wyjątki takie nie stanowią reguły, i dlatego istnieją w świecie salony literackie, albo istniały. Powiadam, że istniały, albowiem w niektórych krajach cywilizowanych, gdzie dawniej wyjątkowo tylko zdarzało się widywać towarzystwa przeplatane literatami i artystami, z czasem, wszystkie salony stały się literackiemi, i jak nie podobna wyobrazić sobie cząbra zajęczego nie szpikowanego słoniną, tak też i w niektórych stolicach nie znajdzie już domu mającego pretensję do posiadania salonu, a nie starającego się o to, by naszpikować ten salon bodaj kilkoma znakomitościami, głośniejszemi w literaturze i w sztuce. Gdzieindziej, nie rozchwytują jeszcze pomienionych znakomitości w ten sposób, ale natomiast zgromadzają je w kilku punktach, z czego powstaje — że użyję tu powtórnie mojego gastronomicznego porównania, cząber literacko-artystyczny, szpikowany eleganckiemi damami, bogatymi panami i ich wice-panami. Taki cząber nazywa się salonem literackim w ściślejszem tego słowa znaczeniu.

Salon literacki jest instytucją, której poży tek często zkądinąd nad miarę ceniony, jest niezaprzeczonym z jednego względu, a mianowicie, ze względu filologicznego. Bez takiego salonu, żaden naród nie zdoła bowiem wyrobić mowy potocznej, konwersacyjnej, i chociażby posiadał język w piśmiennictwie jak najwszechstronniej pielęgnowany; język ten zostanie na wieki sztywnym, niezgrabnym, pozbawionym pewnych subtelnych zwrotów i odcieni, które polegają nie na słownikowem bogactwie wyrazów, ale na znaczeniu, jakiego nabyły przez utarcie się i przyjęcie ogólne. Język zostawiony wyłącznej opiece szanownej publiczności, chociażby salonowej, dziczeje, pstrzy się nad miarę makaronizmami, barbaryzmami i prowincjonalizmami. Język w ręku literatów staje się drewnianym, pedantycznym, jednostronnym, puryści robią z niego różne dziwolągi niesłychane, filozofowie nakręcają go do niezrozumiałej plątaniny wyrazów, gramatykarze kują go w kajdany i zamykają w trumnę, a nakoniec, dziennikarze wyprawiają na nim hece jak czarownice na Łysej Górze i wyrzucają sobie potem nawzajem jego nieznajomość. Skutkiem tego bywa między innemi, że w powieściach i komedjach przedstawiane w nich postacie albo muszą przemawiać martwą mową książek, albo używać różnorzecza miejscowego, jak ono się wyrobiło pod wpływem nieumiejętności władania językiem, obcych naleciałości i odrębnych stosunków lokalnych. Dwa szczególniej języki europejskie, każdy z innych powodów, cierpią takie podwójne męczeństwo: niemiecki, i polski. Brak właściwej, ogólnie przyjętej, potocznej mowy jest jedną z przyczyn, dla których zarówno w polskiem jak w niemieckiem piśmiennictwie dział powieści i komedyj stosunkowo najmniej jest rozwiniętym. Niechaj sobie Niemcy radzą jak mogą, jeżeli w ogóle zdołają dać sobie radę przy panującej u nich rozmaitości akcentu, wymowy i t. d. — co do nas, niewątpliwie salony literackie zaradziłyby niedostatkowi, który tak mocno czuć się daje każdemu piszącemu, jeżeli przypadkiem nie pisze rzeczy uczonych albo nie dosiada górnolotnego wierzchowca, ujeżdżonego już przez wielkich poetów.

Warszawa miewała i miewa salony literackie, to też jej zawdzięczamy tę trochę gibkości i łatwości, jaką się nasz język poszczycić może. Na nieszczęście, grunt na którym kształciła się tam i kształci mowa potoczna, jest niedostatecznym. Mowa taka powinna powstać z zetknięcia się właściwości wszystkich okolic kraju, i być ich wspólnym produktem, przerobionym, ogładzonym, i później powszechnie przyjętym przez wykształcone towarzystwo całego kraju. Język Mickiewicza, Słowackiego, Pola, Goszczyńskiego, Zaleskiego, jest tak jędrnym i silnym, wypowiada tak dobrze ich uczucia i myśli, dzięki tej okoliczności, że Litwa i Ruś dały Polsce największych jej poetów. Już Krasiński więcej filozofuje i definiuje, niż zdoła wypowiedzieć od razu. Otóż, dla naszej potocznej mowy, wyłącznie mazurskie tło Warszawy jest niewystarczającem, a akcent tamtejszy, jakkolwiek chwalony i często miły dla ucha, nie jest bynajmniej wyłącznie uprawnionym. Nie jedno, czego się tam używa w mowie, jest nielogicznem, niejeden zwrot lub wyraz tam potępiony, ma niezaprzeczone prawo obywatelstwa w naszym języku. Gdyby Warszawa była, czem być powinna, i czem, da Bóg, będzie, mielibyśmy w krótkim czasie język konwersacyjny, jakim n. p. Włosi lub Niemcy obok nas pochwalićby się

nie mogli, bo mielibyśmy jedno ognisko wspólne, jak Francuzi mają Paryż, a Anglicy Londyn. Na razie, wartoby korzystać z łatwiejszej dziś komunikacji między innemi miastami polskiemi a Warszawą, ażeby wyrobić mowę potoczną, i nauczyć się nią mówić, a w potrzebie, pisać. Dlatego też, pożądanem jest powstawanie „salonów literackich“ i wypada cieszyć się, że według korespondencji z Krakowa w *Ojczyźnie*, zanosi się tam na coś podobnego.

Ażeby lepiej wyczerpać przedmiot, o którym mówię, dodam tu — ponieważ piszę we Lwowie — że należenie do grona zbierającego się w salonie „literackim“ bynajmniej nie jest kapłaństwem. U nas, gdzie już nawet zakładanie banków i szycie butów od niedawna uważanem bywa za rodzaj kapłaństwa, przestroga taka nie jest zbyteczną. Salon literacki nie wymaga, ani nie daje żadnego szczególnego namaszczenia. Kto pisze słabe wiersze i liche artykuły, kto wydaje kompilacje pod firmą własnych badań uczonych, kto nie kontentuje się tem, że myśli i rozprawia od rzeczy, ale zawiadamia jeszcze o tem szerszą publiczność za pośrednictwem wynalazku Gutenberga, ten nie zostaje wcale jeniuszem, chociaż go zaproszą na wieczór literacki — ale nie ma powodu, dla któregoby go nie miano zaprosić. Na odwrót, kto od biedy macha piórem, i znajduje chętnych czytelników, ten nie będzie się czuł wykluczonym z cechu literackiego ani skazanym na zapomnienie u potomności, chociażby go nie zapraszano na *agapę* duchów wybranych. Salony „literackie i artystyczne“ mają zbyt niezaprzeczone prawo do szczycenia się miernościami wszelkiego rodzaju, ażeby im go ktokolwiek śmiał odmawiać. Zbyt piękna kobieta, prawdziwie uczony, pisarz nakoniec przerastający o znaczną część głowy swoich kolegów, psuliby harmonję w takiem gronie. Kobiety, począwszy od kategorji osób tak zwanych „przystojnych“ albo „niczego,“ przez wszystkie szczeble brzydoty aż do *species* zwanej „maszkarą“ — uczeni, którzy nie wiedzą nic oprócz tytułów wielu książek i nie umieją nic, jak tylko wypisywać cytaty — nieszkodliwi lirnicy i pisarze różnego stopnia nijakości, oto najodpowiedniejsze *gros* takiego salonu, wolno atoli wpuszczać także wielkie piękności i wielkich ludzi, pod warunkiem, aby już były, a względnie, byli na emeryturze. O autorach dramatycznych nie wspominam, bo ci mają własne salony i ekwipaże, i zawiązują właśnie ligę w tym celu, ażeby o ich zasługach literackich nie śniano wspominać gdzie indziej, jak tylko w herbarzach.

Pisał ktoś raz, że należałoby otworzyć salony artystom i artystkom, bo jakże mają przedstawiać na scenie figury salonowe, skoro ich nigdy nie widzą? Był to zbytek troskliwości, komunikacja między kulisami i salonami nie jest bowiem tak rzadką i utrudnioną, jak n. p. komunikacja śródmieścia z przedmieściem halickiem, albo z biegunem północnym — przeciwnie. Innym znowu razem, jakiś lord z kołomyjskiego czy z przemyskiego raczył wyrazić się w przystępie dobrego humoru, że gdyby „tych demokratów“ przypuszczono do „towarzystwa,“ nie przedstawialiby tego „towarzystwa“ w takiem złem świetle, jak to czynią. I to jest mylnem. Dickens, któremu zarzucają, iż przedstawiał arystokrację angielską z uporczywą stronniczością w jak najgorszem świetle, miał, ile razy chciał, otwarty wstęp do jej salonów, a Thackeray, który żył na Pall-Mall, w najsławniejszej swojej książce jeszcze gorzej dał się w znaki salonom, niż Dickens swojemi luźnemi szarżami. W ogóle salon literacki i salon tolerujący literatów, pożytecznemi będą tylko w kierunku, powyżej wskazanym.

Jan. Lam.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami. *)

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

W S T Ę P.

Handel niewolnikami w środkowej Afryce, wzrósł był do rozmiarów prawie zastraszających. Dalekie te osady dzikiego społeczeństwa, były wystawione na wszelkie okrucieństwa zpowodowane polowaniem na ludzi. Okolice, które śmiało można nazwać ziemskim rajem, w krótkich odstępach czasu zamienione zostały w krainę rozpaczy; kobiety i dzieci brano w niewolę, wsie całe obracano w perzynę. Ludność pierwotnie przystępna, stała się nieprzyjazna i podejrzliwa względem każdego przybysza, utrudniając przez to komunikację. Ogólny wynik tego wstętnego handlu można jednem skreślić zdaniem „upadek kraju i ludności.“

Ludzie zajmujący się tem rzemiosłem, byli to ponajwiększej części Arabowie z Sudanu, poddani rządu Egipskiego. Opuszczając swoje rolnicze zatrudnienia, tworzyli liczne kompanje, pozostające na żołdzie kupców w Khartum. Każdy z takich handlarzy, był w posiadaniu pewnej części kraju, w której pobudowawszy stacje, rozdzielał swoje siły, po 300 ludzi na każdą tak zwaną zarielbę (czyli obóz) i takim niejako łańcuchem ułatwiali sobie komunikacje, dzierżąc władzę nad całą okolicą. Można sobie wyobrazić, do jakiego stopnia ten rabunek ludzi się rozpostarł, kiedy jeden tylko handlarz, imieniem Agad, posiadał władzę nad przestrzenią d z i e w i ę ć d z i e s i ą t t y s i ę c y m i l k w a d r a t o w y c h, z możnością gospodarowania jak mu się tylko podobało.

Taki był stan rzeczy środkowej Afryki, kiedy zostałem zaszczycony misją prowadzenia wyprawy, którą organizował wicekról Egiptu, Ismail, a w którym to przedsięwzięciu został utwierdzony uznaniem i gorącem poparciem księcia i księżnej Walii, podczas ich bytności w Egipcie.

Wyprawa ta jednakże była niepopularną, i oprócz poparcia u samego Wicekróla, jego synów, bardzo światłych młodzianów, i dwóch ministrów: Nubara Paszy, i Cherifa Paszy, reszta zapatrywała się na nowe reformy z nieudawaną niechęcią. Miałem zatem do walczenia z wielu przeszkodami, do których przyczyniła się także zwłoka zpowodowana uroczystościami otwarcia kanału Sueskiego.

Nareszcie po wielu usiłowaniach udało mi się wyprawić cały transport ciężkich bagaży, składanych statków i łodzi, wraz z angielskimi inżynierami i mechanikami pod naczelną wodzą Mr. Higginbotkama i lekarza Dr. J. Gedge. Cały ten transport, na obładowanych wielbłądach miał przebyć pustynię Nubijską, i dopiero w Khartum mieliśmy się spotkać, by już białym Nilem w dalszą puścić się drogę.

I.

Żegluga po białym Nilu.

Nadszedł nareszcie, po wielu przeszkodach dzień naszego odpłynięcia. Dnia 8. lutego 1870 r. za danym sygnałem poruszyły się moje szeregi, każdy spieszył zająć wyznaczone mu miejsce. Pozostało mi już tylko do załatwienia ostatnie pożegnanie; posypało się więc tysiące uścisków, któremi miałem obdzielić: Gubernatora, czarnego jak węgiel, Baszę, i całą gromadę Bejów, kończąc tę sentymentalną ceremonię w miękkich objęciach zbyt okrągłego Pułkownika, poczem wsiadłem nareszcie na mój okręt. — Długie szeregi batalјonów ciągnęły się wzdłuż brzegów oddając nam honory wojskowe. Flota moja złożona z dwóch parostatków, i trzydzieście jeden okrętów, mieszcząca oprócz załogi okrętowej, 800 ludzi zbrojnego żołnierza, wypłynęła z Khartum przy odgłosie żegnających nas dział. Prując szybko przy sprzyjającym wietrze fale Niebieskiego Nilu, a okoliwszy wysunięty kraniec lądu, wpłynęliśmy na wielkie wody Białego Nilu. — W dni kilka przebywszy część spławną tej rzeki, dostaliśmy się teraz w krainę bezgranicznej płaszczyzny; przed nami rozciągają się niezmierzone bagna i zarośla, przez które rzeka wije się dziwacznym labiryntem zakrętów, przeszło 750 mil. Nil Biały przedstawia ciekawy i niezwykły widok, ginąc na raz przed okiem żeglarza, w olbrzymich trawach i bagnach. Egipcjanie zupełnie zaniedbali spławność tej rzeki. Niezliczona ilość pływających wysepek, pchanych prądem Białego Nilu, nie mając ujścia, tworzy naturalne przeszkody, z pomiędzy których wydobywał się prąd wody, przez ukryte kanały, póki i te nie zostały zapchane straszną ilością szczątków roślinnych. Wtedy rzeka cała staje się jednem trzęsawiskiem, pod którego powierzchnią sączą się wody niezliczonemi odnogami. Statek przybywszy w taką miejscowość, natrafia naraz na stałą tamę nieprzebitej roślinności, i wszelka komunikacja odrazu ustaje.

Bahr Giraffe, która właściwie jest tylko odnogą Nilu, służy za drogę komunikacyjną ze środkiem Afryki, a więc na jej wody wpłynęliśmy teraz. Niestety, wieści jakie mnie już w Khartum dochodziły o stanie jej spławności, sprawdziły się w całej smutnej rzeczywistości. Rzeka zaczęła się zwężać, by wkrótce zginąć pod bujną wegetacją. Trzeba było wziąć się do pracy i przecinać drogę w trawie podobnej do trzciny cukrowej; niebawem roślinność zmieniła się w pływający zgniły kożuch. Wszystkie siły przyłożone do dzieła, były prawie bezużyteczne, albowiem przegniła trawa nie miała żadnej spójni, a miejsce mozolnem oczyszczone na powrót się zamykało. Na całej przestrzeni nie było widać ani kropli wody czystej, ni stałego lądu; był to chaos bezgraniczny, o którym zdawało się, że zapomniał duch Boży. Ptaki nawet nader rzadkiem były tu zjawiskiem; przestrzeń tę zaludniały tylko same

---

*) Dzieło powyższe, z którego najważniejsze ustępy przytoczymy w naszem piśmie, pojawiło się świeżo w języku angielskim, i należy do najcenniejszych publikacji w ostatnim lat dziesiątku. Ponieważ dotąd nie ma jeszcze ani francuskiego ani niemieckiego tłumaczenia, przeto jesteśmy pewni, że czytelnikom „Tygodnia“ sprawimy tem miłą niespodziankę. (Przyp. red.)

potwory natury, które udawało nam się upolowywać. Pewnego razu przed samym zachodem słońca, ujrzałem wydobywającą się olbrzymią paszczę hipopotama z gęstej trawy, a nie chcąc ominąć dobrej sposobności, obdarzenia mych ludzi świeżą pieczenią, chwyciłem spiesznie za broń, i łódką podpłynąłem ku miejscu, gdzie się potwór pokazał. Nie czekając długo dał się słyszeć plusk wody, i olbrzymia głowa wydobyła się na powierzchnię, w oddaleniu pięćdziesięciu łokci angielskich. Był to za duży dystans dla celnego strzału, szczególniej z łodzi, która zawsze jest w ruchu. Pozwoliłem więc potworowi zanurzyć się, posuwając się sam z łodzią ku miejscu, gdzie się był poprzednio ukazał. W kilka minut hipopotam wynurzył się o trzydzieście kroków, wyrzucając wodę nozdrzami i obrócił się ku nam zdziwiony widokiem śmiałej łodzi, co się do niego zbliżała. Wymierzyłem w tej chwili pod same oko, strzał padł, głowa znikła natychmiast; nie mogłem dalszych robić postrzeżeń, gdyż dym ze strzału zasłonił mi widok. Wzięliśmy się do szukania ciała, lecz daremne były zabiegi, woda bowiem w tem miejscu była głęboka, a noc zbliżająca się zmusiła nas do powrotu.

Na drugi dzień dopiero, ujrzeliśmy olbrzymie ciało hipopotama, w pobliżu naszego statku na powierzchni się unoszące; wszystkie też ręce rzuciły się do dzieła, aby go wydobyć z wody, w nadziei posiadania świeżego mięsa, ja zaś byłem ciekawy skutków mej kuli eksplodującej. Zbadawszy okoliczny teren, z radością niemałą odkryliśmy mały kawałek stałego lądu, wśród bagnisk jak wyspa wyglądający; na tą to przestrzeń, po kilkogodzinnej mozolnej pracy, wydobyliśmy ciało hipopotama, które poćwiertowane na części, następnie na statek zostało przewiezione. Po dokonanej sekcji na głowie hipopotama pokazało się, że kula eksplodująca wyrobu pana Reilly w Londynie, a mego oryginalnego pomysłu, nie pozostawiała nic więcej do życzenia. Kula trafiła pod same oko w cienką i płaską kość, przeszyła czaszkę rozpękując się w mózgu, wyrwała część tylną czaszki, wyrzucając tejże czerepy, wpadła w mięśnie karku, i zrobiła swem przejściem nurt, którego ściany były całkiem osmolone.

Powietrze zaczęło coraz być niezdrowsze, ciągła praca w wodzie, i wyziewy zgniłe bagien, powiększały codzień liczbę chorych, a wkrótce i śmierć pojawiła się, zabierając nam kilka ofiar, dla których nawet nie mogliśmy znaleźć kawałka ziemi na grób. Trudno było dalej walczyć z przeciwnościami; widziałem niemożebność posunięcia się naprzód; konieczność więc zmusiła mię do przeczekania kilku miesięcy, obozując w okolicy Schilluk, póki nie nadejdzie pora deszczów, które napełniając rzeki, umożliwiają przebycie tej okolicy. Ludzie moi z radością przyjęli wiadomość powrotu; wyprawa moja nie była popularną, a praca uciążliwa i choroby, coraz więcej demoralizowały mego żołnierza.

II.

Polowanie na Antylopę.

Cała moja flota już trzeciego kwietnia była w pełnym odwrocie. Przy sprzyjającym wietrze, i prądzie wody posuwamy się szybko naprzód. Bagnista okolica została daleko za nami, stały grunt zaczyna się postrzegać, dając nadzieję rozweselenia się polowaniem. Nie długo czekałem na tę szczęśliwą sposobność; spacerując po pokładzie, ujrzałem przez teleskop Antylopę, stojącą na szczycie mrowiska, w oddaleniu pięć ćwierci mili angielskiej. Schwyciłem za broń, i wskakując do małego czółna kazałem się podwieść do brzegu. Byłoby rzeczą niemożliwą podejść antylopę na płaszczyźnie otwartej, ogołoconej kompletnie z drzew i zarośli, jaka się przed nami rozciągała, żeby nie mrowiska białych mrówek, któremi są te moczary zasiane. Są one, że tak rzeknę, charakterystycznym rysem tych stron; jako też dowodem inteligencji, z jaką te stworzenia budują swoje siedziby, by je od najwyższej powodzi zabezpieczyć. Ziemię na budowlę tych nasypów wydobywają ze znacznej głębokości, jest ona bowiem żółta, kiedy powierzchnia gruntu jest czarna. Tę to ziemię mrówki pierwotnie spożywają, przez co zmieszana z jakiemiś częściami lepkiemi, przemienia się w formalny cement, stawiający opór wszelkim falom i deszczom. Mrowiska takie dochodzą zwykle do wysokości stóp ośmiu, zdarzyło mi się jednak napotykać po stóp dziesięć. Na takie to pagórki wdrapując się antylopa może na daleki dystans obserwować nieprzyjaciela. Jest to bowiem zwyczajem niektórych gatunków tych zwierząt, że stawiają widety, podczas gdy całe stado spokojnie się pasie. Tę to widetę ujrzałem zdaleka i będąc pewnym że stado w bliskości się znajduje, postanowiłem niebawem ją sprzątnąć, zauważywszy poprzednio, że zawsze na nią wybierają kozłów. Trawa była niska, całkiem zielona, będąc widocznie nie dawno spaloną, przez wędrujących krajowców; pozostały tylko miejscami kupki wysokich nie dopalonych badyli, co mi bardzo sprzyjało do zasłonięcia mej wędrówki. Posuwałem się tak z wielką ostrożnością od jednego do drugiego mrowiska; mając ciągle na oku olbrzymie rogi zwierzęcia, rysujące się na tle nieba; w niektórych miejscach musiałem uciec się do pełzania, co nie było wesołą rzeczą, gdyż ostre badyle nie dopalonej trawy, dolegliwie mnie po kolanach i rękach drapały. Słońce silnie dogrzewając, robiło mi uciążliwem moje mozolne raczkowanie, przyczem byłem prawie oślepionym zwęglałym proszkiem pozostałym z nielawnego ognia, a który mi wiatr w same oczy pędził. Dobiłem się nakoniec do stóp przedostatniego mrowiska, zkąd miałem dać ognia.

Antylopa stała na swojem miejscu, bez najmniejszego poruszenia, oddalona odemnie na 180 kroków, wydawała się jakby statua na piedestału. Obrócona do mnie trochę bokiem przedstawiała mi doskonałą pozycję do strzału. Przeczekawszy chwilę, dla nabrania krwi zimnej, i przetarcia zasypanych węgiem oczów, wymierzyłem w samą łopatkę. Za danym strzałem Antylopa upadła na kolana, pozostając chwilkę w tej pozycji, poczem zsunęła się z pagórka. Był to śliczny okaz kozła z gatunku Hippotragus, wysokości około 13 miar w kłębie, głowa długa, pysk i uszy czarne, jako i wierzch głowy, korpus gniady z szerokim czarnym pasem, spływającym ukośnie przez łopatki do nóg, ogon długi, kończący się czarnym włosem, rogi w tył zakrzywione. Stałem chwilę, przypatrując się mej pięknej zdobyczy; antylopa była bardzo duża, a sierć połyskiwała się na niej, jak na dobrze wyczyszczonym koniu. Majtek, świadek całego tego polowania, zaraz popłynął po pomoc do statku, poczem z wielkim tryumfem zabraliśmy naszą nieocenioną zwierzynę.

(C. d. n.)

POLEMIKA.

Stosunek mego „Zarysu dziejów literatury polskiej“ do badań i pomysłów p. dr. Antoniego Małeckiego.— Rzecz we własnej obronie napisana przez Adama Kuliczkowskiego.

(Dokończenie.)

Ponieważ zaś nie wiele już czasu pozostawało na wykłady (było to bowiem 12. lutego 1864 r. w zimowem półroczu, a prelekcje z przerwami odbywały się cztery razy na tydzień), przeto postanowił p. Małecki pomówić tylko o najważniejszych, zdaniem jego, postaciach każdej grupy i gromady. Mówił zatem jeszcze obszernie o Orzechowskim, Modrzewskim, Hozjuszu, nawet o Skardze; ale czuł już widocznie, że kończy się półrocze, a należy przecież zaokrąglić przedmiot choćby jako tako! Czuł zapewne także i to, że niepodobna wymienionych pisarzów zamknąć jedynie w pierwszej gromadzie pierwszej grupy, tj. w gromadzie pisarzów polemicznych. Rzecz o tłumaczach pisma ś. wypadła już bardzo pobieżnie, również o mowcach religijnych i pisarzach grupy naukowej, z pomiędzy których p. Małecki tylko o Brosciuszu i Koperniku mówił nieco obszerniej. O pisarzach politycznych była tylko wzmianka — i prelekcje zakończyły się dnia 11. marca 1864 roku.

Następujący szereg wykładów rozpoczął się dnia 11. kwietnia tegoż roku o okresie panegiryczno-makaronicznym. Profesor nakreślił nasamprzód obszernie stosunki dziejowe Polski w tych czasach, mówił dalej o szkołach, o cechach stylu owego wieku, poczem przystąpił do właściwego zadania. W historji poezji nie uczynił żadnego podziału. W prozie postawił znowu znane trzy grupy pisarzów: 1) gromadzących się około kościoła (czyli religijnych); 2) gromadzących się około akademji (czyli naukowych); 3) gromadzących się około państwa (czyli politycznych). Zaczął od grupy ostatniej, rozróżniając w niej i ściśle rozgraniczając następujące gromady: a) historjografów; b) pamiętnikarzy; c) heraldyków; d) mowców politycznych; e) polityków. O pisarzach tu należących mówił w ogóle mało; nieco szczegółowiej o Kojałowiczu, Kobierzyckim, Kochowskim, A. Chr. Załuskim, Pasku, Niesieckim, Leszczyńskim; o innych tylko wspomniał. O literaturze religijnej była tylko króciuteńka wzmianka (trwająca może 20 minut), toż samo o literaturze naukowej, którą profesor streścił razem w trzech kwadransach, dotykając: a) prawa; b) medycyny; c) filozofji; d) matematyki i astronomji; e) geografji; f) bibljografji. Na zakończenie (dnia 7. i 8. lipca 1864) mówił obszerniej o Stan. Konarskim.

Literaturę wieku Stanisława Augusta i księstwa Warszawskiego aż do wystąpienia Brodzińskiego i Mickiewicza (o której prelekcje rozpoczęły się dopiero w letnim kursie r. 1865) podzielił p. Małecki na trzy okresy: a) przed Poniatowskim; b) Poniatowskiego; c) po Poniatowskim. Co do pierwszego okresu tej literatury, mówił nasamprzód o Konarskim, potem o poetach Bohomolcu i Wacł. Rzewuskim, dalej o historykach, o geografie Lubieńskim, o historykach literatury, o jednym leksykologu (A. Trotzu) i o jednym polityku (Stefanie Garczyńskim). W okresie Poniatowskiego mówił szczegółowo o poetach ówczesnych aż do Karpińskiego i Bogusławskiego; a z prozaików o historykach aż do Albertrandego, o pamiętnikarzach, heraldykach, o politykach Moszyńskim, Kołłątaju i Staszicu. Uczynił profesor także króciutką, kilkanaście minut trwającą wzmiankę o pisarzach na polu gramatyki, stylistyki, fizyki, historji naturalnej i astronomji. Okres literatury po Poniatowskim nie został wtedy nawet poruszonym. Ostatnia lekcja była dnia 18. lipca 1865 r.

W następującym zimowym i letnim kursie przypadły odczyty o poezji polskiej XIX wieku. Prof. Małecki rozpoczął rzecz swoją od podziału literatury na epoki i okresy, poczem rozpowiadał i rozświecał kwestję szkół i ruchu literackiego w Galicji, tudzież w ziemiach polskich pod panowaniem Prus i Rossji zostających, podobnie, jak to uczynił był już w r. 1862. Przechodząc następnie do właściwego zadania podzielił przedmiot wykładów swoich, tj. historję poezji, na takie grupy: a) poeci od roku 1795 do wystąpienia romantyków; b) poeci stanowiący przejście z obozu klasycznego do romantycznego; c) poeci nowej szkoły, a przedewszystkiem romantyczni. Tu po-

mieścił Brodzińskiego i Mickiewicza, walkę klasyków z romantykami, naśladowców litewskiego wieszcza— a następnie postawił dalszą (d), znaną także innym historykom literatury grupę poetów ukraińskich, czyli „szkołę ukraińską". Następujące po tej wymienionej grupy były: e) pisarzów tej samej generacji; f) pisarzów nowszej generacji (od r. 1831—2 do 1840); g) pisarzów jeszcze młodszej generacji (od r. 1840). Podzielił zatem prelegent wszystkich poetów naszych od r. 1795 począwszy na siedm grup; a choć pisarzów na tem polu od Woronicza aż do Kajetana Koźmiana wliczył do trzeciej epoki, mniemam jednak, że nie myślał przez to psuć i zacierać swej trychotomji, ale mówił wtedy raczej o tej pierwszej grupie poetów jedynie dla uzupełnienia niedokończonych prelekcyj swoich o okresie pseudo-klasycznym. Odczyty o poezji XIX wieku sięgnęły aż do Balińskiego, Syrokomli i Ujejskiego i skończyły się pod koniec dnia 9. lipca 1866 roku.

Prócz tego wykładał p. Małecki w r. 1862 przez jeden semestr o najdawniejszych pomnikach języka polskiego tudzież teorję wiersza polskiego, w r. 1864 i 1865 gramatykę języka starosłowiańskiego podług Miklosicha; w r. 1865 o Królu-Duchu Słowackiego i znowu gramatykę Miklosicha.

Oto wszystko, co w ciągu studjów uniwersyteckich słyszałem z ust p. dra A. Małeckiego.*)

Jakiż ztąd wniosek względem mego „Zarysu dziejów literatury polskiej?" Streszczę się krótko. Z powyższego zestawienia okazuje się:

a) że prof. Małecki w r. 1862—3 nie wykładał wcale o pisarzach na polu nauk, wymowy i filozofji XIX wieku a o historykach tej epoki podał tylko bardzo ogólne wiadomości,

b) że prelekcje prof. Małeckiego o prozaikach literatury Zygmuntowskiej nie wyczerpały przedmiotu nawet w mniejszej połowie;

c) że także odczytom o prozie okresu panegiryczno-makaronicznego brakło szczegółowości i wykończenia;

d) że w tak zwanym okresie pseudo-klasycznym dr. Małecki nie wykładał nic o tych prozaikach naszych, którzy bądź to w chwili upadku Rzeczypospolitej, bądź też później na jakiemkolwiek polu się odznaczyli;

e) że prof. Małecki w każdej epoce literatury grupował pisarzów naszych, mianowicie prozaicznych (a w ostatniej epoce także poetów) podług odrębnych, po największej części sobie tylko właściwych zapatrywań. W moim „Zarysie" zaś, prócz przyjętego powszechnie rozgatunkowania autorów na poetów i prozaików, na poetów łacińskich i polskich, epickich, lirycznych i dramatycznych, na prozaików łacińskich i polskich, powieściopisarzów, historyków, mowców, filozofów i pracowników na innych polach nauk, (co wszystko, a nadto także jeszcze kilka podrzędniejszych gromad uwydatnione jest nie tyle w tekscie, ile raczej w ogólnych rzutach oka na okresy, tudzież w spisie rzeczy), nie masz zgoła rozdziału na takie grupy i generacje, jakie dr. Małecki właściwie czy niewłaściwie wówczas był poczynił.

Dla lepszego wyjaśnienia rzeczy podać jeszcze muszę następujące okoliczności:

1) W „Zarysie" moim mówię obszerniej lub też tylko wspominam o 512 pisarzach, którzy pracowali lub pracują na różnych polach literackiego zawodu. Z tej liczby nie masz w zapiskach moich z prelekcyj p. dra Małeckiego śladu o 179 pisarzach lub wydawcach.

Oto ich nazwiska: Alth, Anczyc, Andrzejowski, Antoniewicz Karol, Asnyk, Baranowski, Barącz, Baworowski, Bełcikowski, Belza Józef, Bełza Władysław, Berdau, Bielawski Józef, Błażowski, Bronikowski Antoni, Brzozowski Karol, Budny Benedykt, Budzyński, Bychowiec, Cegielski, Chlebowski Stan., Ciecierski, Czaplicki, Czarnowski J. N., Czeczot, Czerwiakowski, Czyrniański, Dobrowolski, Dobrzański, Domejko, Drzewiecki, Duchiński, Dziekoński, Estkowski, Estrejcher, Falissowski, Felińska Ewa, Folkierski, Forster, Gawarecki, Giller, Glaber, Gliczner, Golański, Gołębiowski Wic., Gordon, Grabowski Ambr., Gwagnin, Hulewicz, Hückel, Jabłonowski Jan, Januszkiewicz, Januszowski, Jędrzej z Jaszowic, Jenike, Kalicki, Kalinka, Kaszewski, Knapski, Kolberg, Konopka, Kosiński, Kosmowski, Koszutski, Kremer Aleks., Kremer Józef, Krupiński, Kruszyński, Krzeczkowski, Kuczborski, Lenartowicz, Leszczyński Bog., Lewestam, Lichocki, Lipiński, Liske, Łabęcki, Łepkowski, Łętowski, Łoziński Wład., Łuszczewski, Mann, Marycki, Mączyński, Migurski, Młodzianowski, Morawski Teodor, Mosbach, Moszczeńska, Motty Marceli, Mrongowiusz, Mroziński, Nagurczewski, Nehring, Niewęgłowski, Niewiarowski, Nowicki, Oskard, Ossoliński Jerzy, Paszkowski Marcin, Pietruski, Piotrowski Ruf., Pistor, Pisulewski, Piwocki, Podczaszyński Mich., Podczaszyński Paweł Bol., Potocki Leon, Rastawiecki, Rogalski, Roger, Romanowski, Rykaczewski, Rymarkiewicz, Ryszczewski, Sabowski, Sakowicz, Sapieha Aleks, Sapieha Jan, Sapieha Paweł, Sawczyński, Siemaszko, Sievers, Skobel, Słonkowicz, Smogulecki, Sobieszczański, Spiczyński, Stanecki, Stanisławski, Steczkowski, Strutyński, Suffczyński, Suchecki, Supiński, Surowiecki, Święcki, Świtkowski, Syreński, Szabrański, Sznajder, Szostowicz, Szylarski, Szyszko, Tarnowski Stan, Tatomir, Tołoczko, Trojański, Tyszkiewicz Eust, Tyszkiewicz Konstanty, Tyzenhaus, Urbański, Waga Ant., Waga Jakób, Waga Teodor, Wargocki, Wegner, Wielogłowski, Wojda, Wróbel Wróblewski, Wroński, Wulfers, Zagórski Apol., Zagórski Ign., Zaleski Wacław, Zamostowski Zawadzki Wład., Zdzitowiecki, Zejszner, Zielonacki, Ziemięcka, Zienkiewicz, Zienkowicz, Zmorski, Zubrzycki, Żebrawski, Żmurko, Żołkiewski, Żółkowski.

2) O niektórych ważniejszych pisarzach mam z prelekcyj p. dra A. Małeckiego zanotowane tylko bardzo ogólne, luźne wzmianki, niekiedy tylko same nazwiska.

Pisarze ci są: Bandtke Jan Winc., Bandtke Jerzy Samuel, Bartoszewicz, Bielski Marcin Bielski Joachim, Birkowski, Cieszkowski Aug., Dzieduszycki Maur., Gołębiowski Łuk., Gołuchowski, Grodděck, Helcel, Hofmanowa, Jundziłł, Kluk, Kopczyński, Kromer Marcin, Libelt, Linde, Miłkowski Zyg., Mochnacki, Paprocki, Petrycy, Piramowicz, Schmitt, Śniadecki Jan, Śniadecki Andrzej, Stryjkowski, Szajnocha, Szujski, Trentowski, Warszewicki Krzysztof, Wujek, Zacharjasiewicz.

Po tem wszystkiem, co tutaj przytoczyłem o korzystaniu ze źródeł, monografij i opracowań, tudzież o treści spisanych przezemnie prelekcyj p. dra Małeckiego, które dopiero teraz uporządkowałem i przejrzałem, a z których nie korzystałem podczas pisania mego Zarysu, pozwalam sobie zapytać się jeszcze raz sumiennego czytelnika, czy to wszystko, co się zawiera w mojej książce, może być tylko prostem skróceniem owych notatek, czynionych podczas samychże odczytów dra Małeckiego i nie stenograficznie?

Czy można mnie więc godziwie obwinić o bezprzykładny, bo niby z rękopisu popełniony plagiat?

Sąd o tem pozostawiam czytelnikom.

Co do mnie, powodowany przyzwoitością nie odzywałem się dotąd na żadne, niekiedy nawet bardzo dotkliwe zarzuty. Obecnie sądzę, że nie wolno mi było milczeć....

Kończąc oświadczam, że w razie dalszych zarzutów gotów jestem wszelkie szczegółowe kwestje, tyczące się mego „Zarysu", wyjaśnić szczegółowo i publicznie.

Pisałem we Lwowie w marcu r. 1875.

* *
*

Ogłosiliśmy odpowiedź p. A. Kuliczkowskiego w tej osnowie, w jakiej nam ją wręczył. Ze strony naszej nie umieściliśmy nigdzie najkrótszego nawet przypisku, aby nie rozbijać całości i nie rozrywać uwagi czytelnika. Teraz atoli obowiązek nakazuje nam określić nasze stanowisko w tej sprawie. Po pojawieniu się książki p. Kuliczkowskiego, Dr. Antoni Małecki, dawny jego profesor na uniwersytecie lwowskim, niejednokrotnie wobec osób prywatnych, i publicznie przed słuchaczami w auli uniwersyteckiej, uskarżał się na p. Kuliczkowskiego, że ten pisząc „Zarys dziejów literatury polskiej", za wiele korzystał z jego skryptów. Nikt, a tem mniej my nie mieliśmy powodu wątpić o prawdziwości słów Dr. A. Małeckiego, zwłaszcza że wszyscy, których sprawy literackie obchodzą, byli głęboko przekonani, że p. Kuliczkowski w rzeczy samej korzystał z prelekcyj Dr. Małeckiego w sposób nadto obszerny. Nie mając w ręku prelekcji Dr. Małeckiego, gdyż nie zostały dotąd drukiem ogłoszone, i nie mogąc z niemi porównać książki p. A. Kuliczkowskiego, a ufając jedynie opinji osób, które się opierały na twierdzeniach Dr. A. Małeckiego, umieściliśmy w Nr. 8. „Tygodnia" artykuł pt. „O sumienności autorskiej". Obowiązek nasz spełniliśmy najzupełniej — a dziś po umieszczeniu odpowiedzi p. Kuliczkowskiego, odwołujemy się do szanownego profesora Małeckiego, aby ze swej strony zechciał wyjaśnić, o ile słuszne było nasze wystąpienie, a o ile zgodną z rzeczywistością jest obrona p. A. Kuliczkowskiego. Uczynilibyśmy to chętnie sami, ale nie mając skryptów, z których autor „Zarysu" miał czerpać. musimy chcąc nie chcąc zapelować do samego Dr. Antoniego Małeckiego.

Redakcja.

*) To co przytoczyłem o odczytach p. dra A. Małeckiego, tudzież i to, co zaraz niżej będzie o pisarzach, o których p. Małecki albo wcale nie mówił, lub wzmiankował tylko dorywczo, przy różnych sposobnościach, przytoczyłem na podstawie moich notat z prelekcyj p. Małeckiego i gotów jestem udowodnić tego wszystkiego zapiskami zawartemi w tych notatach.

BIBLIOGRAFJA

— „Starodubowska Sprawa", powieść przez Teodora Tomasza Jeża. Lwów, 1875.

Najświeższy ten utwor naszego cenionego pisarza przedstawia jedną z chwil dziejów kozaczyzny Zadnieprskiej a pierwszą chwilę żarłoczności caratu moskiewskiego. Piotr Wielki cywilizuje mongolskie plemię i nikczemnych uczy przewrotności zaprawiając do drapieżności na swobodach i mieniu kozaczem. Scena główna odegrywa się w Starodubiu, siecią intrygi osnuta starszyzna, nie daleko widząca, z poduszczenia carskiego wysłannika dopuszcza się bezprawia, by potem za to srodze odpokutować. Taką jest główna ekspozycja, na której tle maluje się obraz sielankowej na poły miłości córki kozaczej, pułkownikównej do syna kozackiego także, ale jak powiadają „zlaszonego" już. Pełne uroku, silnie chwytające są sceny odbywające się pomiędzy kochankami, szkoda tylko, że scen podobnych za mało, że autor poskąpił nam widoku, jakibyśmy ujrzeli, gdyby młode te dusze pełne zapału urosły w charaktery potężne. Czytelnik z powieści domyśli się łatwo, że podobny los, jaki spotkał Starodub i mieszkańców jego, zgotowany był pewnie i dla reszty osad swobodnych dzieci kozaczych, ale mimo to, powtarzamy, szkoda, że tak rychło urywa się opowiadanie. Katastrofa jest śliczną i nic do życzenia nie pozostawia, ofiary być musiały i są, cynizm moskiewski na chwilę zda się tryumfuje, ale na chwilę tylko. Córka bowiem pułkownika, której zabijają ojca, której matka zostaje obłąkaną, wymyka się z rąk i objęć pożądliwych moskali, ona gotowa dla miłości zostać choćby „Laszką", byle razem ze swoim Iwasiem, który nie chce i nie pokłoni się nigdy carowi, despocie. Uchodzą więc do Polski wolnej za Dniepr. Na tem kończy się powieść. Powiemy jeszcze, co nam wydaje się nadto fatalistycznem. To mianowicie, że autor przedstawił nam kozaczyznę, a właściwie starszyznę, jako niedołęgów. Niedołęstwo to, brak rozumu politycznego, cięży tu jakby fatalizm, który musi nieodzownie przywieść do zguby całe plemię lecące w szpony caratu jak w paszczę tygrysa.

— Filozofja Leibnitza, napisał Dr. Władysław Daisenberg; Kraków — 1875.

W dziełku tem, obejmującem 107 stronic, autor zapoznaje nas z Leibnitzem, całą jego działalnością na polu filozoficznem, i z epoką w której żył ten wielki filozof niemiecki, w sposób tak jasny i przystępny, że pracę jego mogą czytać nawet profani, nie narażając się na niezrozumienie. Nie mogąc szczegółowo ocenić tego dziełka na tem miejscu, poprzestajemy tym razem na wzmiance, wynurzając nadzieję, że p. Daisenberg, który z zamiłowaniem uprawia filozofję, zechce nas z czasem obdarzyć treściwym „Rysem historji filozofji". Taka historja napisana stylem jasnym i potoczystym, właściwym p. D. byłaby bardzo pożyteczną publikacją.

— Socyologja Augusta Comte'a, przez Bolesława Limanowskiego — Lwów, 1875.

Od niedawnego czasu świat naukowo-literacki w Warszawie, a w ostatnim roku także umysłowe sfery

Galicji zaczęły zajmować się więcej pozytywizmem, którego u nas jedni bądź całkiem nie rozumieją, bądź w czambuł potępiają dla tego, że nie licuje z ich chorobliwemi poglądami. Z książki p. Limanowskiego można się dokładnie dowiedzieć, czem jest właściwie ten „pozytywizm“ — a że autor zdając sprawę z dzieł Comte'a, poprzedził ją poglądem na całą naukę francuskiego filozofa, i stosownie do potrzeb dzisiejszych uzupełnił własną krytyką, przeto książka jego staje się korzystnym nabytkiem dla literatury, i wielce pożyteczną publikacą w czasach dzisiejszych.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Jeżeli dłużej tak potrwa, będziemy chyba musieli emigrować ze Lwowa. Od kilku tygodni mamy dzień w dzień przynajmniej jeden koncert, a że według zapewnień miejscowych dzienników politycznych każdy koncertant i każda koncertantka jest znakomitością pierwszorzędną, gwiazdą świecącą czarownym blaskiem tonów, przeto nie mogąc się już zorjentować w tej plejadzie wielkości, wypadnie nam jak to powiedzieliśmy wyżej, wynieść się cichaczem z nadpełtwiańskiej stolicy, choćby przez sam wzgląd na całość naszych nerwów. Nie wdzierając się w atrybucje naszego muzycznego recenzenta, który w przyszłym tygodniu zawiadomi naszych czytelników, kto w ubiegłych kilku tygodniach grał najlepiej (nam się zdaje że Joseffy) damy pokój koncertom, a poświęcimy kilka słów naszemu teatrowi. Mieliśmy balet, który wyjechawszy ztąd do Stanisławowa, tem samem okazał, że we Lwowie nie powinien był występować — mieliśmy na benefis pani Nowakowskiej „Damę kameljową“ Dumasa, w której pani N. grała bardzo dobrze, mieliśmy jeszcze kilka innych benefisów nieudałych, i jeden, p. Fischera, który się powiódł. P. Fischer wybrał na swój benefis „Safandułów“ Sardou, wyborną komedję, której od lat kilku nie widzieliśmy na naszej scenie. Całość wypadła zadowalająco, teatr był pełny. Szkoda tylko że p. Zboiński w roli margrabiego de Rochepéan był automatem, że p. Linkowski od czasu do czasu nadto przesadzał, co tylko galerji mogło się podobać, chociaż zresztą grał wyśmienicie, i że w niektórych miejscach pani Hubertowa ten sam błąd popełniała. Rolę Małgorzaty, odtworzyła pani Woleńska nad nasze spodziewanie, tyle w jej grze było prawdy, uczucia i dramatyczności, a co do p. Fischera, to jakkolwiek słaby stosunkowo głos nie pozwolił mu wydobywać tych efektów, do jakich podaje sposobność rola Vauclina, to mimo tego braku świetną charakterystyką, grą pełną taktu i należytem przejęciem się charakterem poczciwego jakobina — benefisant ocalił trudną postać. Już to nie da się zaprzeczyć, że p. Fischera należy do najzdolniejszych i najsumienniejszych artystów na naszej scenie. Publiczność ocenia też należycie jego talent i pracę, czego najlepszym dowodem środowe przedstawienie.

— Myśl wydania „Plutarcha polskiego,“ poruszona przez nas w jednym z pierwszych numerów „Tygodnia“ — znalazła nareszcie odgłos, nie w Galicji — broń Boże! ale w Poznaniu. W nr. 94 *Dziennika Poznańskiego* znaleźliśmy fejleton, w którym Dr. S. Warnke powołując się na nasz artykuł, dodaje ze swej strony kilka uwag i kończy wezwaniem, aby jak najprędzej utworzył się komitet redakcyjny, któryby się zajął urzeczywistnieniem tej myśli. Autor wynurza nadzieję, że na czele takiego komitetu J. I. Kraszewski stanąłby z pewnością. — Co do nas mniemamy, że gdyby która z poważniejszych firm księgarskich, lub nowo powstająca księgarnia literacka we Lwowie, zajęła się wydaniem takiego dzieła, które zawierając życiorysy wielkich naszych mężów, stałoby się prawdziwą bibliją polską— komitet utworzyłby się bardzo prędko, i do dwóch lub trzech lat patrjotyczny czyn byłby spełniony. A więc do dzieła!

— Bezimienny fejletonista „Ojczyzny“ piszący „Listy z Krakowa“ uderza na nas za artykuł w nr. 16, w którym przytaczając zdania pp. Jarochowskiego i Brandowskiego, wynurzyliśmy przekonanie, że p. W. Zakrzewski powinien dołożyć starań, aby odpowiednio sprawę swoją załatwić. Wspomniany fejletonista twierdzi przy tej sposobności, że polemika nasza jest niegrzeczną. Otóż odpowiadamy, że z wystąpienia pp. Jarochowskiego i Brandowskiego myśmy tylko loiczne wnioski wysnuwali, a więc o niegrzeczność tylko ich a nie nas pomówić można. Jeśliśmy głos w tej sprawie zabrali, to nie jako uczeni, lecz jako publicyści, i ludzie zdrową loiką obdarzeni, którzy wiedzą czem powinien być uniwersytet Jagielloński. Słów naszych nie cofamy, ponieważ nie da się zaprzeczyć, że system protekcyjny rzucił się jak gangrena na zdrowy niegdyś organizm uniwersytetu Jagiellońskiego. Że tak jest, potwierdza fakt nowy: Uniwersytet Jagielloński postanowił powołać na katedrę porównawczej gramatyki słowiańskiej w tymże uniwersytecie, profesora gimnazjalnego we Lwowie, p. Kałużniackiego, który do niedawna jeszcze chełpił się, że po polsku nie umie. Drugim kandydatem był dr. Lucjan Malinowski, profesor w Warszawie, autor kilku prac przysłanych Akademji umiejętności w Krakowie. Smutny ten fakt tak przykre zrobił wrażenie, że nawet „Czas“ czuł się zmuszonym odezwać się w te słowa: „Kto w r. 1869 nie umiał po polsku, ten z trudnością będzie mógł w r. 1875 wykładać umiejętność języka polskiego i jego powinowactwo do języków pobratymczych. Nie piszemy na wiatr. W „Czasie“ z d. 15. kwietnia 1869 umieściliśmy próbkę wykładu nauczyciela ówczesnego gimnazjum (p. Kałużniackiego), który dziś przedstawiony został na katedrę uniwersytetu Jagiellońskiego. Odsyłamy ciekawych do tego numeru „Czasu“ i następnych, gdzie jest mowa o zajściach wywołanych w szkole w skutku tej potwornej polszczyzny, przypominającej, jak wtedy pisaliśmy, Szczepanka z „Chłopów arystokratów.“ — Tyle Czas.“ — „Osten“ zamieszcza list ze Lwowa, z którego następujący wyjmujemy ustęp, zapoznający nas bliżej z panem Kałużniackim: „Rozeszła się w kołach ruskich wieść że deputowani ruscy w Radzie państwa wymienili J. Eksc. ministrowi oświaty dwóch kandydatów na katedrę filologji słowiańskiej, w przyszłym uniwersytecie czerniowieckim i gorąco ich poparli, t. j. profesorów gimnazjalnych Onufrego Łepkiego i Kałużniackiego. Łepki jest katechetą gr. kat. w polskiem gimnazjum i wydawcą pierwszego zeszytu (jednoarkuszowego wyszłego przed sześciu laty) dziejów literatury rosyjskiej (wyciąg z Szewirewa), oraz dwóch modlitewników i jednej książki rytuałowej. P. Kałużniacki jest nauczycielem historji przy akad. gimnazjum, a oprócz znanego braku taktu, nic o nim w szerszych kołach nie słyszano. Mając jednak wujem profesora filologji na uniwersytecie, można łatwo dostać nominację uczonego. Kałużniacki należał początkowo do najgorliwszych zwolenników partji ukraińskiej, ale gdy za wstawieniem się radzcy szkolnego Ilnickiego otrzymał posadę przy gimnazjum lwowskiem, a Ławrowski umarł, należy on do najgorętszych stronników „wędrówki do Moskwy,“ spodziewając się teraz lepszą przez nich otrzymać posadę...“ Zobaczymy, jak to się skończy.

— Pisaliśmy o liście dr. Alfreda Brandowskiego, umieszczonym w „Przeglądzie etnograficznym,“ a wymierzonym przeciw dr W. Zakrzewskiemu. Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu list ten znaleźliśmy teraz dosłownie powtórzony po niemiecku w tymże samym „Przeglądzie.“ Czy redaktorom „Przeglądu etnograficznego“ zależało na tem, aby Niemcy jak najprędzej dowiedzieli się o naszych sporach? Takie postępowanie zdradza co najmniej brak wszelkiej rutyny redaktorskiej. Jesteśmy zwolennikami energicznych wystąpień przeciw wszystkiemu co szkodliwe, ale nigdy nie pochwalimy tych, którzy mogąc sprawy własne w domu własnym załatwić, wciągają, lub usiłują wciągnąć ludzi obcych do familijnych sporów. To ani roztropne, ani patrjotyczne.

— „Encyklopedji do krajoznawstwa Galicji“ wyszedł zeszyt 8, należący do tomu II. i zawiera rzeczy od Bajkowce do Balin. Praca p. Antoniego Schneidera jest zastanawiającą, wszelako musimy przy tej sposobności nadmienić, że niepotrzebnie autor „Encyklopedji“ utrudnia ją sobie, rozpisując się np. o takich rzeczach jak bokobrody itp. które do krajoznawstwa Galicji wcale nie należą.

— Nowe trzy pieśni Wilh. Czerwińskiego, (polskie słowa Aurelego Urbańskiego) na głos mezzosopranowy lub barytonowy, wyszły właśnie nakładem Ludewiga i Schmidta we Wiedniu. Pieśni są następujące: 1) „Kto krwawą nie zapłakał łzą,“ z Göthego; 2) „Z głębin serca wydrzeć chciałem,“ z Heinego; 3) „Oto kurhan stary we śnie,“ z Göthego. Wszystkie te pieśni wyszczególniają się prawdziwym talentem kompozytorskim. Wkrótce wyjdą nowe kompozycje p. W. Czerwińskiego.

— Znany malarz p. Gerson umieścił na wystawie sztuk pięknych w Warszawie nowe swoje dzieło, przedstawiające Bolesława Krzywoustego w chwili gdy przyjmuje wojewodę krakowskiego, Żelisława, po jego powrocie z wyprawy morawskiej, dając, mu za rękę na wyprawie tej straconą, prawicę złotą, którą jeden z paziów trzyma obok na poduszce. O ile z pism warszawskich wywnioskować możemy, artysta, któremu dotąd zarzucano brak dobrego kolorytu, chciał okazać co w tym kierunku dokaże, i stworzył rzecz pod względem kolorytu rzeczywiście lepszą jak poprzednie, ale za to dość słabą co do ugrupowania i charakterystyki osób pojedyńczych.

Zakład w Drohowyżu.

— Pomnikowy zakład sierót i ubogich w Drohowyżu, ufundowany ofiarnością śp. Stanisława hr. Skarbka którego kuratorem jest książe Karol Jabłonowski, został nareszcie ukończonym i ma być otwartym w jesieni rb. Jak nas upewniają, dyrektorem tego zakładu zostanie najprawdopodobniej p Juliusz Starkel, literat i członek krajowej Rady szkolnej. Lepszego wyboru nie mogliśmy się spodziewać. Prawość charakteru, nauka i pilność, oto rzadkie w naszem społeczeństwie przymioty, które posiada p. Starkel, a to daje rękojmię, że pod jego kierownictwem zakład będzie się odpowiednio rozwijał.

Odkrycia i komunikacje.

— Na Wysokim zamku we Lwowie znaleziono czaszkę, w której tkwiła strzała tatarska. Ciekawy ten egzemplarz znajduje się w Zakładzie imienia Ossolińskich.

— Miasta Boulogne i Dublin postanowiły wręczyć złoty medal sławnemu pływakowi i wynalazcy przyrządu do pływania, kapitanowi Boyton.

— W okolicach Kelheimu odkryto w lesie jaskinię, przechodzącą obszarem i głębokością wszystkie dotychczas znane jaskinie w niemieckiej jurajskiej formacji — jest ona bowiem 100 stóp głęboką a więcej niż na 70 stóp szeroką. Rozgałęzia się ona, od środka poczynając, na dwa kurytarze, a pod nią ciągnie się jeszcze szyb, kształtu studni na 30 stóp w głąb'. Wykutą jest ta jaskinia w zielonym piaskowcu i wapieniu, — panuje w niej suchość zupełna i ztąd nie ma ani jednego stalagmitu. W głębi jej przez napływy utworzył się wzgórek około 20 stóp wysoki, zawierający w sobie niewątpliwie ślady życia z rozmaitych perjodów od najdawniejszych czasów. Tuż pod powierzchnią tego pagórka znaleziono dotychczas kości ludzkie, szkielet dzika, kości końskie, szczątki psa myśliwskiego, oraz pnie drzew rozmaitych i węgle.

Zjawisko natury.

— W Azji Mniejszej pomiędzy 35 stopniem szerok. płnon. a 28 długości wschod. spadł 27. zeszłego miesiąca nader obficie śnieg purpurowy.

Wojskowość.

— W obozie włoskim w S. Mauriccio próbobowano nowych 32 centymetrowych armat oraz nowego także prochu, wynalezionego przez pułkownika Anagha, dyrektora fabryki prochu w Fossano. Próby udały się wybornie. Nadano pociskom dziesięcioma kilogramami prochu szybkość 420 metrów na sekundę nie przeszedłszy przytem ciśnienia 1800 atmosfer.

— Rezultat, który osiągnięto w Woolwich przy wypróbowywaniu olbrzymiej armaty, przechodzi wszelkie dotychczas osiągnięte w świecie przy próbach broni. Chodziło o oznaczenie ładunku, jakiego tak olbrzymie, 38 tonn ważące działo, będzie wymagać. Otóż pocisk ważący 800 funtów wyrzucony z siłą tylko 150 funtów dosięgnął niesłychanej szybkości 1506 stóp na sekundę — przyczem zauważano maleńki tylko nacisk na wewnętrzną powierzchnię działa. Rezultat ten zawdzięczają nowo wynalezionemu sześciennemu prochowi, którego ziarnka mają $1^1/_2$ cala w przecięciu.

Nekrologja.

— W Krakowie umarł d. 26. bm. Feliks Benda, artysta dramatyczny i ulubieniec publiczności krakowskiej. Jako artysta należał do celniejszych.

ROZMAITOŚCI.

— Podajemy tutaj wyciąg z listu prywatnego jednego z węgierskich mężów stanu, przebywającego obecnie w Indjach, w Delhi. Opisuje on bardzo ciekawe szczegóły przyjęcia nowego wice króla indyjskiego w Delhi. „Dzisiaj, 17 Marca 1875,—pisze ów dyplomata—przybył koleją wicekról Indji i przyjął hołdy książąt tutejszych, należne namiestnikowi królowej angielskiej. Na dworcu oczekiwały już na niego zgromadzone władze wojskowe i cywilne. Ledwo wyszedł z wagonu dosiadł pokrytego bogatemi czaprakami, olbrzymiego słonia. Za nim usiadł sługa trzymający w rękach bogato haftowany złotem wielki parasol aksamitny, jako symbol najwyższej władzy. Podczas całego pochodu wjazdowego nikomu nie wolno było rozpiąć swego parasola. Świta wicekróla i jego goście, a w ich liczbie i ja, zasiedliśmy również na bogato strojnych słoniach i tak cały pochód ruszył od dworca przez miasto. Przodem szło pięć par słoni niosących tutejszych książąt i ich gości; dalej następował kroczący luźnie słoń wicekróla. Po jednej stronie drogi stały świetnie ubrane słonie książąt Indyjskich. Naprzeciw zaś każdego z nich siedział na rządowym słoniu jeden z rezydentów których z europejskich rządów. Gdy wicekról mijał książąt, powstali wszyscy, dla pozdrowienia go wyrazem „Selam“. Następnie każda para słoniów, którą wicekról minął, przyłączała się na prawo i na lewo do orszaku. W ten sposób przeciągnęliśmy mniej więcej w 80 słoni przez miasto wśród niesłychanie zbitego tłumu ludu. Każde okno, każda terasa pełną była widzów, a ponieważ tutaj tłum daleko piękniejszy obraz przedstawia aniżeli u nas, jeżeli się więc z wysokości słoniów na to zbiorowisko pstrych turbanów spoglądało, miało się widok jakoby olbrzymiego wschodniego dywanu. Na końcu głównego placu zatrzymał się wicekról, sztab przysunął się do niego a książęta na słoniach przedefilowali przed nami. Na znak pozdrowienia każdy powstawał na swojem siedzeniu, przyczem słonie poważnie pochylały i wznosiły trąby. Ztąd udaliśmy się w powozach do obozu wicekróla. Ujrzeliśmy z namiotów ustawioną wielką ulicę a na samym jej końcu wysoki tron dla wicekróla. 18 Marca siedmiu książąt złożyło wizytę wicekrólowi, i przyjęci zostali wojskowemi honorami, 17, 15, 12 itd. wedle stopnia, wystrzałami z armat. Wicekról także, odpowiednio do stopnia, postępował ku nim od tronu na 5, 3, 2 kroki, albo też nie podnosił się wcale z siedzenia. On sam zasiadł na wzniesionym tronie; przybyli goście zajęli miejsca po prawicy jego na fotelach pysznemi dywanami pokrytych, reszta zas świty rozsiadła się na krzesłach na prawo i na lewo. Przyniesiono podarki książąt. Składały się one z pachnideł, oliwy sandałowej i betelu. Wówczas wicekról namaścił rozłożoną dłoń każdego z książąt korkiem umaczanym w oliwie sandałowej, obdarzył każdego z nich dwoma pakiecikami betelu, owiniętego w srebro i kazawszy sobie jeszcze przedstawić świtę książąt, ceremonję zakończył. Ja, siedząc na trzeciem miejscu od wicekróla, miałem sposobność wszystkiemu aż do końca doskonale się przypatrzyć. Wkrótce wicekról zamierza rewizytować znaczniejszych książąt w ich obozach i zaprosił mnie do towarzystwa. Tysiące tysięcy jeźdźców, niezliczona moc słoniów, nieprzejrzana okiem ilość świt i służby zapełnia obecnie obóz w Delhi i każda pojedyńcza przejażdżka, przy stosunkowo chłodnem powietrzu, przedstawia najciekawsze w świecie widowisko. Można się sądzić nagle w wiekach średnich, gdy się widzi, jak książęta na stopniach tronu namiestnika składają monetę (trybut) a on obdarza ich honorową szatą i szablą albo lancą, do której sam własnoręcznie chorągiewkę przymocowuje. Dzisiaj, 19 Marca, składają książęta odwiedziny znaczniejszym osobom ze świty namiestnika, i mnie oznajmiono dwóch z pomiędzy nich. Przygotowałem odpowiednio namiot mój na ich przyjęcie. Jeden z nich nazywa się Swell Putialla. — Skosztowałem roskoszy bardzo pięknego polowania. Chociaż bowiem łowy na nosorożca i tygrysa były bezowocne, ponieważ nie dosyć jeszcze jest ciepło,—tylko 32 stopnie w cieniu!,— jednakże wyprawa na dziki w zupełności się udała. W Pig-Sticking przy Coroupore położyliśmy we dwa dni około dwudziestu dzików. Dwa z pomiędzy nich były olbrzymiemi okazami. Do ostatniej minuty walczyły o życie swoje, wśród dzikiego chrapania rzucając się wciąż na nowo, wciąż na nowo przyjmowane ostrzem lancy. Wyznać muszę, że jest to głęboko wstrząsające polowanie.“

— W Lipcu 1785, szesnasto letni wówczas Napoleon, dotychczas odbywający studja w szkole wojskowej, otrzymał oficerskie szlify. Żył on wówczas bardzo ściśle z rodziną bankiera Permona, którego żona była Korsykanką i nader zaprzyjaźnioną z Bonaparte'mi. Napoleon lubił wielce ten dom i często go nawiedzając, gorąco zalecał się do dwóch prześlicznych córek bankiera. Otóż owego pięknego dnia, gdy po raz pierwszy porucznikowski uniform i błyszczące szlify przywdział, nie miał nic pilniejszego, jak podążyć do Permonów, dla pokazania się im w pełnym blasku, ani podejrzewając, iż powierzchowność jego w tym stroju niesłychanie była komiczną. Był on bowiem bardzo małego wzrostu, i przytem straszliwie chudy, a tkwił w olbrzymio wielkich i szerokich butach z ostrogami, jakie podówczas niezbędnie do uniformu artylerji należały. To też zaledwie wszedł do salonu Permonów, młodsza z uroczych siostr, która jako niedawno wypuszczona z pensjonatu nieco jeszcze była dziecinna, krzyknęła głośno, śmiejąc się i klaszcząc w ręce: „Przyszedł kot w butach!... Kot w butach obdarza nas wysokim zaszczytem odwiedzin swoich!“ Na takie przywitanie młody bohater z początku oburzył się nieco, wnet jednak odzyskał dobry humor i powagę porucznikowską i zawtórował śmiechem niesfornej i złośliwej szalenicy. W kilka dni zaś później zjawił się znowu i przyniósł dowcipnie obmyślany podarek: pięknie oprawny egzemplarz bajki Perrault'a o „Kocie w butach“. I pomimo tej złośliwości, czuł i zachował dla tej małeńkiej damy tak wielką przychylność, że w kilka lat później, gdy został kapitanem, a zanim jeszcze odjechał na stanowisko garnizonowe, za pośrednictwem matki prosił o jej rękę. Ale mama Permon, znająca bardzo dobrze niezbyt świetne stosunki zubożałych Bonapartych, sama żyjąc w najpomyślniejszych warunkach, uważała tę partję za niestosowną dla swojej córy i zmusiła ją do dania największemu genjuszowi wojennemu nowej epoki—odkosza!... Poczciwa kobiecina zaiste nie podejrzewała nawet, że tym sposobem pozbawia córkę swoją lśniącego djademu cesarzowej! Starsza z obu sióstr, Laureta Permon, wyszła następnie za Junot'a, adjutanta Napoleona, który tego wiernego Paladyna, w chwili potęgi swojej, księciem d'Abrantes zamianował.

— Przemysł tkacki i przędzalnie doszły już dziś tak daleko w swoim rozwoju, że wkrótce my wszyscy, mieszkańcy stref zimniejszych, okryć się będziemy mogli aksamitem i jedwabiem, wytworami przyrody pasu gorącego. Strzępki bowiem i włókna drzew i roślin tamtejszych dostarczyły już znacznej ilości materjału dla przemysłu tkackiego, a ilość ta z dniem każdym się powiększa. I tak w najświeższych czasach dwie rośliny: Ramee i Pita zwróciły na siebie wielką uwagę w gospodarstwie okolic gorących i na rozmaite sposoby w przędzalniach i zakładach tkackich przerabiane bywają. Nie jeden już z nas nie wiedząc o tem, okrywa się kortem z Ramee inaczej zwanej trawą chińską. W przeszłym roku nie mniej jak siedem miljonów funtów nici z trawy chińskiej przewieziono do Anglji, gdzie zmięszane z innemi delikatnemi nićmi, zamienione zostały w kosztowne towary o połysku jedwabnym. Ta trawa chińska nadaje wełnianym i bawełnianym materjom, do których jest domieszaną, taką trwałość i taki jedwabny połysk, iż przy cenie o połowę prawie niższej, wyglądają one jak prawdziwie jedwabne. Roślina ta, jak już wspomnieliśmy, znana powszechnie pod malajskiem imieniem Ramee, jest przedmiotem troskliwej i ulubionej uprawy nie tylko w Chinach ale i po za niemi, na indyjsko holenderskich wyspach Sumatrze i Jawie, w Japonji, Birmanji, Siamie i Assamie. Należy ona do „urticeów“ do gatunku Boehmeria którego włoski liściowe nie kłują. Po wielu próżnych usiłowaniach udało się także zaprowadzić ją w niektórych gorących a razem wilgotnych okolicach Stanów Zjednoczonych, szczególniej w Luizjanie i wpobliżu zatoki Meksykańskiej. Każdy morg gruntu zasiany tą trawą daje rocznie do 2000 funtów surowych strzępków, które odchodzą po cenie 25 centów za funt, co znaczy, że każdy morg taki przynosi rocznie 500 do 700 złr. Wiele wprawdzie także zależy i od tego, jak strzępki takie oczyszczone i przygotowane zostaną. Jeśli stanie się to, jak potrzeba, wówczas są one silniejsze, niżeli rossyjskie konopie a wydają nici przydatne do wyrobu najdelikatniejszych brukselskich koronek. Roślina ta znaną była już z jednego botanicznego dzieła więcej pięćdziesięciu lat; teraz jednak dopiero wypróbowana i wyzyskana. Przy całej żądzy robienia zyskownych interesów i bogacenia się, ród ludzki w ogólności nieruchawy jest i niedowierzający, gdy chodzi o pojęcie i skorzystanie z nowych odkryć. Pierwsza wełna alpakowa, którą przywieziono z Ameryki Południowej do Anglji, leżała długo pogardzona w nędznych worach na składzie w Liverpoolu i nikt nie chciał jej kupić. Dopiero sir Tytus Salt ujrzawszy coś połyskującego z jednego z tych worów, kazał wyjąć, przyjrzał się bliżej i poznał wielką wartość tej wełny. Dzisiaj tkaniny alpakowe i tysiączne z tego materjału wyroby znaleźć można na całym świecie. Pita jest drugą rośliną, o której wyżej wspomnieliśmy. Jest ona z kształtu podobna do drzewa i wydaje włókna i strzępki podobne do konopianych. Należy do Agawów. Specjalny jej, meksykański gatunek, Magney zwany, daje wyborny materjał na nici, tasiemki, sznurki itp. wygląda bladożółto jak jedwab' i przydaje się także na wyrób bardzo trwałych materyj, które tylko wilgoć i deszcz nie zupełnie dobrze znoszą. Liście jej dochodzą do siedmiu stóp długości i wydają stosunkowo długie nici, na sucho, jak len nowozelandzki i malajskie konopie. Niektóre gatunki tej rośliny i Ramee rosną na wysokości trzech tysięcy stóp na górach himalajskich i dałyby się niezawodnie zaaklimatyzować w południowej Europie, a może nawet i u nas. Tak więc, kto wie, czy w krótkim czasie gorąca strefa nie zaopatrzy nas zupełnie i po taniej cenie przeciw zimnu i tym sposobem nie ułatwi nam życia w naszym klimacie i nie pozwoli swobodniej o innych środkach upiększenia i utrzymania życia pomyśleć.

—Areonauta Sivel, o którego śmierci tragicznej donieśliśmy w numerze poprzednim, zamierzał urządzić w balonie wycieczkę do bieguna północnego, równocześnie z wyprawą angielską. Tragiczny zgon nie pozwolił mu wykonać tego projektu, który dla nauki mógł być niesłychanie ważnym. Komitet angielski, zajmujący się przygotowaniem do ekspedycji, przyjął był jego ofertę z najwyższem uznaniem. Zobaczymy, czy znajdzie się drugi areonauta, któryby chciał pójść w ślady Sivela, że odkrycie bieguna z balonu, byłoby rzeczą możliwą, jeżeliby tylko balon dał się jako tako kierować, to żadnej nie ulega wątpliwości.

Odpowiedzi Redakcji.

W. S. w Stanisławowie. Forma ładna, myśli atoli nie nowe a więc całość nie wystarcza.

Sabina we Lwowie. Kto czuje tak głęboko i z taką szczerością myśli swoje spowiada, tego nie godzi się oblewać zimną wodą. Gdy serce cierpi, wiara nie zawsze je leczy, bo nie każdy ma skłonność do ascetyzmu, a wyraz „poświęcenie„ staje się nieraz frazesem. Prosimy przenieść się w położenie osoby, której tak zbawienne dało się rady, coby się wtedy uczyniło? Oczekujemy odpowiedzi.

H. w S. De gustibus non est disputandum.

M. H. w Krakowie. Z przysłanego nam manuskryptu korzystać nie możemy.

P. W. w Kr. Spis rzeczy zawartych w Tomie I. będzie dołączony do nr 21, ponieważ ułożenie zajmuje wiele czasu.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).